Rok II. Kraków, dnia 5 Sierpnia 1883 r. Nr. 14 i 15

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Od Redakcji.

Z powodu niezależnych od Redakcji okoliczności Nr 14 „Przeglądu“ znacznie się opóźnił w druku. Dlatego woleliśmy wydać go razem z Nrem 15-tym, aby zapobiedz dalszym opóźnieniom.

Z przyjemnością zawiadamiamy Szanownych Prenumeratorów, iż zapowiadaną przez nas nowellę „Baba“, pióra znakomitego autora „Pana Damazego“ już otrzymaliśmy i druk jej niebawem rozpoczniemy.

NOC LETNIA.

(FANTAZJA).

. . . . Słońce kona już złociste
I w purpurę chowa lica,
A na niebios tło przeczyste,
Spływa srebrny blask księżyca...
Milkną zwolna ziemskie głosy —
A tam w górze — po nad nami,
Zapalają się niebiosy
Jasnych świateł milionami...
Jak brylanty gwiazdy płoną —
Środkiem mleczna płynie droga —
Księżyc świateł tych koroną,
Przecudowną lampą Boga!...

A w powietrzu i na ziemi,
Jakby żywych tłum chochlików,
Skrzydełkami błyszczącemi
Miga złoty rój świetlików...
Tu i owdzie płyną w górze
Poszarpane strzępki chmury:
To koronki na lazurze,
Które tkała dłoń natury...
Z srebrnych nitek fal kaskada
Brylantowe chłonie blaski —
Z głuchym szumem na dół spada
I zamąca dna obrazki...
Z drzew i kwiatów woń rozlana
Rozpalone chłodzi skronie —
Zda się ziemia zczarowana:
Wszędzie złoto — światło — wonie...

. . . . Cicho! Słowik w bzów gęstwinie
Melodyjny nuci śpiew,
Pieśń po rosie gdzieś w dal płynie,
Budząc echa sennych drzew...

KRONIKA.

Wiadomo, że kobietom, a zwłaszcza młodym mężatkom, przychodzą często dziwaczne zachcenia. Jedna naprzykład z moich dobrych i pięknych znajomych życzyła sobie, abym się w niej choć na dwie godziny zakochał, pomiędzy bowiem całym szeregiem wzdychających do niej przed i po ślubie, nie miała ani jednego kronikarza, a ciekawą była bardzo, jak ten rodzaj ludzi wygląda w miłosnym zapale. Druga z moich równie dobrych, choć mniej pięknych znajomych, marzyła koniecznie o tem, aby zostać starą panną, choć już od lat paru była młodą mężatką i mąż czynnie się starał przekonać ją o tem. Inna znowu, malutka, czarniutka, a ognista, wybierała się do Indji na polowanie na tygrysy, gdyż znęcanie się nad miejscowymi frakowymi lampartami, nie czyniło jej żadnej przyjemności.

Wszystko jednak to, com dotychczas dowiedział, niema najmniejszego związkn z dalszą treścią kroniki. Gdybym był posłem w sejmie lub rajchsracie, zwróciłby mi przewodniczący uwagę, że odchodzę od rzeczy, co nawiasem mowiąc, często się szanownym mówcom przytrafia. Ale zaszczytne stanowisko kronikarza pozwala na podobne odejścia, jeżeli tylko nie stają one w sprzeczności z poglądami c. k. Prokuratorji.

Ponieważ jednak wypada znaleźć łączność między ustępem o «zachceniach,» a dalszym ciągiem kroniki, muszę przeto oświadczyć, że i mnie przyszło dziwne zachcenie udania się na wieś w okolice Krakowa. Dowiedziałem się bowiem, że w jednej z miejscowości w. księstwa krakowskiego, znajduje się człowiek, popierający myśl radcy Rzewuskiego co do miejsca na pomnik Mickiewicza i będący do tego abonentem Gazety Krakowskiej. Ciekawy byłem niezmiernie poznać owego jegomoscia i dzięki temu przez 48 godzin oddychałem balsamicznem powietrzem pol naszych i stąpałem po zielonych kobiercach łąk, zabłociwszy się nieco w szemrzącym ruczaju i rozdarłszy niższą część ubrania na płocie. Urocze wrażenia z pobytu na wsi, nigdy się nie zatrą w mojej pamięci.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Ciebie chwalę pod niebiosa,
Rano spędzam muchy z czoła,
Wieczór spędzam muchy z nosa.

Ze swobodą niezrównaną
Dnie i noce mile cieką,
Mleko słodkie pijam rano,
Wieczór pijam kwaśne mleko.

Oko błądzi gdzieś w parowy
I ma wrażeń moc obfitą:
Rano widzę żyto, krowy,
W wieczór widzę krowy, żyto.

Pan polować chce na słomki,
Pani pragnie łowić ryby;
Gdy pogoda — na poziomki,
W słotę idziem zaś na grzyby.

Dusza dźwiękiem kołysana
W upojeniu błogiem drży...
W górę wzlata — u stóp Pana
O straconym raju śni...
Przyszła chwila zapomnienia
Bólu, którym serce drga —
I łza wielka — przebaczenia
I miłości spadła — łza!..

. . . .

I przed mojej duszy okiem
Zdobny w złotych myśli ramy,
Snuł się się widok za widokiem
Wielkiej życia — panoramy...
I przed okiem mojej duszy
Mignął szereg dziwnych scen...
I rozkoszy i — katuszy,
Jakby wielki życia — sen...
I nie chciałem przebudzenia —
I nie chciałem żadnej zmiany,
Wpadłszy w błogi stan uśpienia,
Długi — wieczny — nieprzerwany...
Dusza czuła w tym zachwycie
Miłość Bożą — ducha dzielność...
Cel istnienia — siłę — życie...
Czuła w sobie: nieśmiertelność!...

Bieniów 28/6 1883. *Edmund Prus.*

Ostatnie wiązanie.

NOWELLA

przez

Ludwika Kozłowskiego.

Dokończenie.

Marysia wprawdzie zaśmiała się także czasem w miejscach weselszych, lub zasłuchała poważnie w smutniejszych, ale myśl, głównie absorbująca ją w tej chwili, pragnienie jaknajprędszego wyjścia na ulicę, panowała nad wszystkiem, sprawiając, że dziewczyna nie była dziś tak dobrą słuchaczką opowiadań swej pani jak zawsze... Owszem, widać w niej było roztargnienie, a wśród słuchania przygotowywała sobie to kaftanik i chustkę, w których wyjść miała, to koszyk na prowizję, który miała zabrać z sobą...

Nareszcie, skorzystawszy z jakiejś chwilki przerwy, ośmieliła się Marysia powiedzieć:

— Pannuńciu! Czas już położyć się do łóżka... Ja boję się, aby panniusia przez to wszystko nie zasłabła jutro...

— Jutro?... — odrzekła staruszka uśmiechając się i trąc czoło — jutra już dla mnie niema... nie będzie...

Marysia nie rozumiała tych słów i roztargniona nie usiłowała nawet ich zrozumieć, zwłaszcza, że po chwili usłyszała pytanie:

— Dokąd ci dziś tak śpieszno, dziewczyno?...

Marysia zmięszała się trochę i spiekła raka.

— Bo.... widzi pannuncia... — wyjąknęła — jutro jest niedziela, więc dziś trzeba mi jeszcze iść na miasto...

— Po co?

— Wiadomo po co... Trzeba kupić funcik mięsa na rosół dla pani... Doktór mówił, że rosół potrzebny jest panniusi koniecznie, przynajmniej raz w tydzień... Trzeba jeszcze...

— E, to wszystko rzeczy niepotrzebne... — przerwała staruszka. — Zresztą, rozbierz mię, położę się, a potem pójdziesz sobie.

Marysia rzuciła się skwapliwie do tej usługi, ale to było nie łatwo... Stara panna była bardzo osłabioną już oddawna, a dziś bardziej niż kiedykolwiek. Dziewczyna zaś nie miała jeszcze tyle sił, aby podołać łatwo dźwiganiu jej i rozbieraniu.

Podołała jednak... Ułożyła swą «panniusię» do łóżka, okryła ciepło, zapaliła nocną lampkę, ubrała się, chwyciła koszyk, zbiegła pospiesznie ze wschodów i — znalazła się wreszcie na ulicy.

Na dworze deszcz ulewny ustał, ale ćmił «kapuśniak» jesienny. Było wilgotno, zimno, ciemno... Marysi jednak ciepło, wesoło i lekko było na sercu... Miała dość pieniędzy na mięso, włoszczyznę i bułki; litościwy stary doktor dostarczył ich tym razem... Miała przytem w zaklętym woreczku pieniądze własne, które postanowiła dziś stracić....

Nie możemy dłużej utrzymywać w tajemnicy zamiarów Marysi, które jej tak śpieszno było przyprowadzić do skutku. Oto opowiadanie «panniusi» o radości, którą przynosił jej dawniej dzień urodz'n, a zwłaszcza o owym koszyczku z cukierkami, ofiarowanym 17-letniej panience, który jej milszem był wiązaniem nad wszystkie dary bogate, tak głębokie zrobiło wrażenie w poczciwem sercu dzieweczki, że postanowiła poświęcić swoje grosze, długo ciułane, aby miłem wspomnieniem sprawić staruszce w jutrzejszym dniu urodzin przyjemność.

Z przyjemności człek szaleje:
Chcę wycieczkę zrobić małą,
Wierzchem? — nie, bo koń kuleje,
Bryczką? — koło się złamało.

Któż się moja wsi kochana
Twemi córy nie zachwyca?...
Kaśka brzydka jak Pastrana,
Baśka stara czarownica...

Dobry obiad, podwieczorek,
Wnet rozpędzą twą zgryzotę:
Mięso miewasz w każdy wtorek,
A chleb świeży co sobotę.

Kiedy wspomnę polędwicę,
Gospodyni śpiewa cienko:
«Może chce pan jajecznicę,
«Albo jaja też na miękko?»

«O nie pani — zadumany
Rzeknę do niej wzniośle, hardo —
«Racz mi pani dla odmiany,
«Zrobić jaja dziś na twardo.»

Ile w tem wszystkiem poezji dowodzi sam fakt, iż na wspomnienie wesoło spędzonych dni na wsi muza moja tęschno i rzewnie zajęczała. Los, «srogi serc morderca,» nie dozwolił mi cieszyć się długo jej urokiem. Co więcej missja moja całkiem się nie powiodła: mimo starannych poszukiwań nie udało mi się znaleźć w okolicy prenumeratora Gazety Krakowskiej i popieracza radcy Rzewuskiego w sprawie placu pod pomnik Mickiewicza, o którego istnieniu w tych stronach (nie Mickiewicza i nie radcy Rzewuskiego, lecz prenumeratora i «popieracza») fama aż do Krakowa się rozniosła. Dopiero w drodze ruszyło sumienie jadącego zemną «pana rządcę», który mi wyjawił, że indywiduum takie istnieje, ale wstydzi się przyznać i od trzech tygodni suszy piątki i soboty obiecując solenną poprawę. Wzruszeni temi objawami skruchy, postanowili okoliczni obywatele i oficjaliści milczeniem ubić tę ubliżającą ich powiatowi sprawę i dlatego zataili przedemną nazwisko grzesznika. W przejeździe przez najbliższe miasteczko wskazał mi «pan rządca» mały domek ocieniony drzewami, zamieszkały jeszcze przed dwoma miesiącami przez drugiego w tych stronach prenumeratora Gazety Krakowskiej. Biedaczysko przeniesiony został do szpitala św. Łazarza w Krakowie, gdzie w odziale obłąkanych miewa codziennie wykład o konieczności postawienia pomnika Adama przed biblioteką uniwersytecką.

W pierwszym Nrze «Czasu» czy «Reformy» jaki mi wpadł w ręce po powrocie ze wsi, wyczytałem wiadomość, iż chan Beludżystanu dla poratowania swojej kassy, polecił sprzedawać przez licytację wszystkie niewierne połowice swoich poddanych. Chan najwyraźniej minął się z powołaniem, posiada bowiem wybitne zdolności na ministra skarbu. Nie należy ani na chwilę wątpić, że JE. pan minister Dunajewski skorzysta z genjalnej myśli władzcy kraju, w którym zwyczajni śmiertelnicy mają po jednej lub dwie żony, a duchowni po cztery. Mimo niezadowolenia i oporu płci pięknej finansowa ta operacja ma przed sobą przyszłość.

— Jaka też to rada będzie biedna moja stara pannuńcia — rozmyślała Marysia, idąc spiesznie ulicą — kiedy jutro rano ujrzy na stoliku przy łożku koszyczek z cukierkami, taki sam jak był tamten i taką samą, różową przewiązaną wstążeczką!... Gdybyż tylko dostać taki sam!... Przypatrzyłam się dobrze tamtemu, co stoi na komodzie... Potrafię wybrać podobny.

I wybrała podobniuteńki, tylko świeży i nowy, co nie było zresztą trudnem, bo chodziło o koszyczek bardzo skromny i prosty... Wybrała i wstążeczkę różową, atłasową — i kupiła w końcu cukierków doskonałych, któremi zapełniła koszyczek.

Wesoła, promieniejąca radością, wróciła Marysia na ubogie poddasze, gdzie zastała swoją panią już śpiącą... Chodząc cichutko, na palcach, aby jej nie obudzić, rozwiesiła swój przemokły na deszczu kaftanik i chustkę na poręczy krzesła przy piecyku, aby wyschły, a potem usiadła przy stoliku koło lampki, obrócona dla ostrożności plecami do łóżka, i zajęła się symetrycznem ułożeniem cukierków w koszyczku i jaknajpiękniejszem przewiązaniem koszyczka różową wstążeczką.

Deszcz padał ciągle szumiąc głucho o dach, staroświecki zegarek gdakał głośno, w piecyku zagasł ogień, zrobiło się w izdebce zimno, a Marysia siedziała długo jeszcze, to kładąc, to wyjmując cukierki, to związując to rozwiązując wstążeczkę... Nie miało dziewczę wprawy w tem «estetycznem» zajęciu, a przytem — mamyż wyznać prawdę? — doznawało biedne dziecko niezmiernie silnej pokusy do skasowania jakiejść cukrowej truskawki, która niesłychanie wdzięcznie i smakowicie wyglądała... Coś tedy ciągnęło gwałtem Marysię do ustawicznego rozwiązywania i otwierania koszyczka... Ale uczynić zadość pokusie nie można było, bez zrobienia brzydkiej luki w cukierkach... Skończyła się więc długa wewnętrzna walka chlubnem bardzo dla dziewczęcia zwycięztwem, bo pełnem rezygnacji ostatecznem zamknięciem koszyczka i ustawieniem go na stoliku przy łóżku pani w taki sposób, aby pierwsze jej, po przebudzeniu się spojrzenie, musiało paść na «wiązanie,» różową przewiązane wstążeczką.

Słota wraz z nocą minęła i poranek zajaśniał całym blaskiem jesiennej pogody, która w naszym klimacie tak często piękniejszą bywa od wiosennej, jak gdyby to było w porządku rzeczy, że uśmiech pożegnalny więcej ma dla nas uroku, niż powitanie, przeszłość więcej czasu niż przyszłość...

Jaskrawe promienie słońca wdarły się przez okienko na poddasze i obudziły wcześnie naszą staruszkę z właściwego chorym poł-snu, pół-drzemki, w których była pogrążoną w ciągu nocy. Biedna «solenizantka» miała już zamknąć powieki na nowo, gdy wtem ruch leżącej na kanapie Marysi, (która już także nie spała, niespokojna oczekiwaniem wrażenia swej niespodzianki) ocucił staruszkę mocniej — i wtem wzrok jej padł na koszyczek, przewiązany różową wstążeczką...

— Adolfie!... Luby mój Adolfie!... — wykrzyknęła, nieprzywołana snać jeszcze ze swych sennych marzeń do rzeczywistości. — Adolfie!... mój miły, mój jedyny kochanku!... To tyś mi przysłał to wiązanie śliczne!... Ah, dajcie mi je, dajcie, niech się niem ucieszę!...

Z wysiłkiem, lecz rozpromieniona, dźwignęła się staruszka z posłania, aby ująć w rękę koszyczek, gdy tymczasem Marysia śledziła z bijącem żywo sercem za każdym ruchem swej pani.

— O tak!... — mówiła ona dalej, trzymając już w ręku koszyczek. — Mój Adolf pamiętał, że dziś dzień moich urodzin... Nie mógł, nie powinien zapomnieć o tem... Dzięki ci, dzięki, mój luby!...

Długą chwilę staruszka cieszyła się wiązaniem jak dziecko, lubując się niem i osypując koszyczek pocałunkami. Aż nareszcie głowa jej opadła na poduszkę, a twarz przed chwilą jaśniejąca radością, przybierała stopniowo wyraz smutnego zamyślenia.

W końcu oprzytomniała snać biedna, bo oczy jej odwróciły się na chwilę od ciągle trzymanego w ręku koszyczka i spojrzały na Marysię, a usta wyszeptały wyraźnie:

— Niech cię Bóg błogosławi, Marysiu!... Tyś dobre dziecko!..

Umilkła, przymknęła powieki, a na ustach jej osiadł spokojny, błogi uśmiech.

Koszyczek pozostał wciąż w ręku.

— Zasnęła!... — pomyślała sobie Marysia. — Niech śpi, to będzie jej na zdrowie!...

Dziewczynka cichutko wstała, umyła się, uczesała włosy, przywdziała sukienkę, i zaczęła się krzątać około śniadania. Nie dziwiło ją to bynajmniej, że «panniusia,» po przebudzeniu, zasnęła tak mocno powtórnie.

— Niech śpi! — szeptała sobie. — I owszem!... obudzę ją gdy będzie herbata gotowa...

Zdarzyło się, że doktór litościwy człowiek, który często odwiedzał staruszkę, przyszedł tego ranka wcześniej niż zazwyczaj

— Pannuńcia śpi... — szepnęła mu Marysia.

Na samą tę myśl oczom moim przedstawia się następujący obraz:

Tło: Sukiennice. Za kratkami stoi kilkanaście niewiast w ponętnych pozach. Przy biórku siedzi komisarz sądowy, obok niego stoi woźny z dzwonkiem w ręku. Kratki otacza kilkuset przedstawicieli rodu męzkiego, przeważnie stara kawalerja. Woźny zaczyna wywoływać:

«Pani Pulcherja Niewiernowska. Wydanie «miniaturowe z roku 1859 [1]). Wysokość «stóp 4 cali 8. Żona adwokata. Oko czarne, «włos płowy. Brak jednego zęba trzonowe«go — reszta w porządku. Objętość w pa«sie $1\frac{1}{2}$ stopy. Gra na fortepianie i mówi po «francusku. Głos miły, ruchy sympatyczne. „Zwiedziła Egipt i Arabję. W ortografji «polskiej pozostawia nieco do życzenia, mia«nowicie pod względem używania *o* kresko«wanego. Płeć biała i delikatna. Na niewier«ności małżeńskiej schwytana razy 14. Ce«na wywołania 1844 złr. i centów 23. Kto «da więcej?»

Albo też:

«Pani Kandyda Zdrajczyńska. Wydanie «z r. 1846. Egzemplarz dobrze zachowany. «Druk wyraźny, papier gruby. Żona doktora «medycyny. Kartki środkowe nieco pomięte. «Przedmiot posiada język niemiecki, polskim «włada wprawnie i nieustannie. Włosy wła«sne, zęby żółte lecz silnie osadzone. Lokal «serca zdolny pomieścić 4ch do 5ciu naraz «lokatorów. Znajomość 4ch działań zupełna. «Oczy piwne, wzrost bujny, waga funtów «152. Niewierności małżeńskiej dowodów «148. Wartość szacunkowa 62 złr. Licytacja «powtórna niżej ceny szacunkowej rozpoczy«na się od summy 44 złr. 18 centów. Kto «da więcej?»

Ceny wywołania, jak to widzą czytelnicy, byłyby dość przystępne, co się tłomaczy ilością towaru nieproporcjonalną do zbytu. Kurs prawdopodobnie poszedłby z czasem w górę, gdyż srogość ustawy wpłynęłaby na mniejszą produkcję wyrobów rogowych. Licytacje takie powinny się odbywać w lecie, gdyż saison morte należałoby uprzyjemnić i urozmaicić.

Zapewne dla tego urozmaicenia krakowska straż pożarna wybrała się w zeszłą sobotę na gaszenie słońca, które i bez tego samo zachodziło. Strażnik na wieży złudzony gęstym dymem wychodzącym z piekarni, a czerwonym od promieni «lampy niebieskiej,» sygnalizował pożar, czem narobił dużo strachu i śmiechu, za co mu w porze ogórkowej wdzięczność prawdziwą winniśmy. Straż dążyła z pośpiechem ku zachodowi, ale przekonawszy się, że długą przed sobą miałaby drogę do przebycia, zanim by dotarła do celu, powróciła nazad do koszar. «Nowa Reforma» miała wyborny temat do wstępnego artykułu zaczynający się od słów: «Oto do czego doszło w Krakowie! «Intrygi Stańczyków nawet słońcu nie dają «spokoju i wysyłają straż pożarną na jego «zgaszenie. Ciemnota — oto ich ideał. Ale «nie bójmy się, nie zgaszą oni słońca, choć

[1]) Kronikarz był raz tylko na licytacji i to książek, ztąd wplątały mu się mimowoli fachowe wyrażenia.

Doktór ostrożnie zbliżył się do łóżka, aby chorą obaczyć... Ale po chwili zwrócił się do Marysi strwożony z okrzykiem:

— Czy to już dawno stało się to z nią, moje dziecko¿...

— Co się stało, panie konsyliarzu?...

— To! to!... Czyliż nie widzisz co?...

— Ja widzę że pannuńcia spi, nic więcej!... Wszakże rozmawiała ze mną przed godziną...

— Dziecko! Twoja «pannuńcia» nie obudzi się już na tym świecie nigdy...

Marysia osłupiała!... Przez chwilę spoglądała nieprzytomna, zdumiona, to na doktora, to na swoją panią... Nareszcie z głośnym płaczem rzuciła się na kolana u łóżka nieboszczki.

Ze skostniałej ręki zmarłej wypadł w tej chwili koszyczek, przewiązany różową wstążeczką... Doktór go podjął...

— Co to jest? — zapytał, chcąc postawić na stole.

— Panie konsyliarzu! — błagała z serdecznem łkaniem Marysia. — Niech to pozostanie w jej ręku!... Ona tak się tem cieszyła!... To ja podarowałam jej ten koszyczek dziś na wiązanie... Biedna moja pannuńcia pobłogosławiła mię za to!...

— I Bóg cię także pobłogosławi, poczciwe dziecko, chociaż, kto wie, może to wiązanie ją zabiło.

A po chwili dodał:

— Chodź tymczasem do mnie, Marysiu, zanim się pogrzeb urządzi... Twój koszyczek pójdzie z nią do trumny.

Dziewczę zwróciło po raz ostatni zalane łzami oczy na swoją kochaną «pannusię» — i wyszło.

Tak się smutnie zakończył radosny «dzień urodzin»! ..

PROROK.

(„Ainsi soit-il“).

Mam dziś bracia proroczego ducha!...
Kto ma uszy, niechaj pilnie słucha,
Bo co powiem — to rzecz niesłychana;
Niebo w wielkiej dla nas łaskawości,
Da nam przyszłość pełną pomyślności!...

„Amen! Amen!... Błogosławmy Pana!...

* * *

Na autorach rzecz się najprzód skrupi:
Milczeć będzie każdy, kto jest głupi!...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana?...
Dworak będzie samą prawdę gruchać...
Pany — pochlebstw już nie będą słuchać...

„Amen! Amen!... Błogosławmy Pana!...“

* * *

Przyjaźń, która puste dziś jest słowo,
Trwałą będzie po deskę grobową!...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana?...
Już człowieka — choć w ubóstwo wpadnie,
Przyjaciele nie opuszczą zdradnie!...

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana!...“

* * *

Autor każdy w księdze swej pomieści,
Mniej skandalów, ale więcej treści...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana?...
Książek pustych nikt nie będzie czytać,
Bo rozsądek pocznie w głowach świtać!...

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana!...“

* * *

Nadto — autor z dziś nieznanej dumy,
Giąć nie będzie pióra, gdzie chcą tłumy..,
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana! ..
Krytyk każdy bezstronny i prawy,
Radzić będzie, lecz nie szarpać sławy...

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana....“

* * *

Świat nie ujrzy już sędziów przedajnych,
Ni urzędów żadnych złotodajnych...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana?...
Nikt zadarmo karanym nie będzie...
Szalą prawdy będą ważyć wszędzie!...

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana!..“

* * *

Już nie będzie kryminalnym grzechem,
Krzywdy kraju pomścić, chociaż śmiechem!...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana!...

«by wszystkie oddziały straży krakowskiej «z sikawkami wyruszyły. Fakt ten jednak «zbyt jest doniosły i pouczający, abyśmy «bliżej nad nim się nie zastanowili itd. itd.»

Na drugi dzień czytalibyśmy w Czasie: «Trzeba prawdziwego warcholstwa, wytłu«maczonego chyba tylko chęcią złapania «prenumeratorów, aby fakt wyruszenia stra«ży pożarnej na ugaszenie słońca łączyć «z tendencjami i polityką naszego stron«nictwa. Ktokolwiek zna nasze zasady wie«dzieć powinien, iż nigdy przeciw słońcu «walki nie prowadziliśmy i prowadzić nie «myślimy. Jest ono również jak my konser«watystą, «zawsze stojącym i stać chcącym« «choć liberały miały go przed Kopernikiem za «biegnącego wciąż rewolucjonistę. Całe to «wystąpienie Nowej Reformy uważać nale«ży za czysty manewr przeflancowanej na «nasz grunt tromtadracji. To, do czego sa«mi prawdopodobnie rękę przyłożyli, chcą «zwalić na przeciwnika. Stara to sztuczka, «próbowana już nieraz przez katylinarne «egzystencje.»

Dlaczego takich artykułów nie było, wytłomaczyć niezmiernie trudno. Podejrzywam, że «Czas,» z «Reformą» znowu zaczynają kokietować.

K. B.

ECHA.

Habent sua facta... muzea narodowe.

Kiedy podczas jubileuszu Kraszewskiego zebrani na koleżeńskiej uczcie i pogawędce artyści polscy podjęli myśl założenia muzeum narodowego, jeden tylko głos wystąpił z opozycją. Dar jednak Siemiradzkiego był za silnym przykładem, aby opozycjonista nie umilkł wobec zdania ogółu. Po czterech latach, spędzonych przykładnie na drzemce przez komitet muzealny, uchwalono nareszcie statut, wybrano komitet wykonawczy i dyrektora. Został nim prof. Władysław Łuszczkiewicz, ów jedyny i stanowczy przeciwnik myśli założenia muzeum. Nieprawdaż, że to ciekawe?

Bądź co bądź, wyboru lepszego uczynić było trudno. Żaden z kandydatów nie mógł się równać z prof. Łuszczkiewiczem pod względem znajomości historji sztuki, czego przedewszystkiem od dyrektora muzeum narodowego wymagać należy. Dziwimy się tylko, że szanowny professor taił się z ochotą przyjęcia dyrektorstwa, co naraziło kilku poważnych artystów i mniej poważnych archeologów, na niepotrzebne starania się o dyrektorstwo. W każdym razie winszujemy nowej instytucji odpowiedniego dyrektora, zwłaszcza jeżeli ten działalność swoją skieruje ku gromadzeniu przedmiotów sztuki, a nie archeologicznych zabytków, kopij lub odlewów. Powaga nazwiska dyrektora

Można będzie, bez obawy szpiega,
Głośno krzyczeć, kiedy co dolega!...

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana!..."

* * *

Będą wszystkie panny i dziewice
Tak niewinne, jako gołębice...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana!...
Młodej Pannie siedmnastu latek,
Snić się będzie nie chłopiec, lecz kwiatek!..,

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana! .."

* * *

Żony będą wierności wzorami —
I przestaną strzelać w bok oczkami...
Wszakże prawda — to rzecz niesłychana?...
Mąż, — uważcie! — bez obawy sromu,
Nawet tydzień może nie być w domu!...

„Amen! Amen! Błogosławmy Pana!..."

* * *

Lecz kto wierzy w proroczego ducha,
Kto ma uszy, — niechaj teraz słucha,
Bo rzecz będzie ważną niesłychanie:
Wszystkie moje przepowiednie brzmiące
Spełnią się, lecz za lat.... trzy tysiące!...

„Takaż !... Takaż wola Twoja, Panie?!. .

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

RODZINA BARDY.

NOWELLA

Maurycego Jokaja tłom. z oryginału L. Majewski.

Dokończenie,

Opuszczony pałac dogorywał tymczasem, oświetlając strasznie całą okolicę.

Wokoło panowała cisza, przerywana czasami jękiem konającego lub ochrypłą piosnką przebudzającego się ze snu pijanego.

Od strony Klauzenburga pędzi jakiś oddział jeźdźców, drogą ku pałacowi wiodącą.

To Emeryk i jego towarzysze. W milczeniu zachmurzeni jadą obok siebie, słońce jest już na niebie.

— Spóźniliśmy się — rzekł jeździec obok Emeryka, wskazując na ukazującą się łunę. — Tam się pali twoje mieszkanie,

— Może nie jeszcze — odparł wbijając ostrogi głęboko w konia. — Towarzysze iedwie mogą z nim dotrzymać kroku.

Na skręcie ukazała się dolina. Ujrzeli pałac jakby jaki zapalony stos, cały w płomieniach.

Jakby śmiertelnie ugodzony dzik krzyknął Emeryk, wyrwał szablę i popędził galopem po spadzistej górze, i niebawem pędził po wijącej się w górę drodze; w kwadrans stał przed pałacem.

Przy wywalonej bramie zastał na pół pijanego Wołocha.

— Gdzie mój ojciec? gdzie rodzina moja? gdzie moja narzeczona! — krzyknął młodzian tracąc zmysły; zabłysła szabla ponad głową jego, aby spaść na Wołocha.

Ten upadł przed nim na kolana i błagał, żeby mu nic nie robił, że on nie mordował tych panów.

— A więc wymordowaliście ich! — jęknął nieszczęśliwy młodzieniec boleśnie, upadł na szyję konia i płakał. — Biada mnie, biada.

Tymczasem nadjechali towarzysze jego i chcieli rozsiekać Wołocha.

— Dajcie mu spokój. Wstań i prowadź gdzie są pochowani. Wymordowali wszystkich, ani jednego nie zostawili przy życiu! Ani jednego! Oh niech ten dzień będzie przeklętym, który wschodzi po takiej nocy.

Wołoch zaprowadził ich do wysokiego nasypu, i ze drżeniem oznajmił, że tu są zamordowani.

Nieszczęśliwy młodzian, ostatni potomek rodziny swojej, spadł z konia jakby apopleksją tknięty przy grobie swojej rodziny.

Towarzysze podnieśli i położyli go na murawie, gdzie najmniej było śladu krwi, i potem zaczęli kopać dwanaście grobów.

— Zróbcie trzynaście, wykopać i mój grób! — jęknął młodzieniec.

Potem otworzyli wielki grób i odprowadzili Emeryka przemocą. Na widok tego co tam było byłby stracił zmysły.

— Wymordowali wszystkich — jęczał. — Ani jeden nie żyje....

Po chwili przyszedł jeden z kolegów do niego i powiedział, że w grobie jest tylko jedenaście osób,

— To jedna musi żyć! — krzyknął Emeryk z rumieńcem

---

może być wielce pomocną w pracy nad jakościowem i ilościowem zbogaceniem zbiorów muzealnych.....

* * *

W Warszawie wyszło już 10 tomów «wyboru powieści J. I. Kraszewskiego.»

Nie o znanych oddawna tego wydawnictwa powieściach pomówić tu chcemy, ale o ich formie. Pośpiech uwydatniający się obecnie z całej naszej prassie, którego znamieniem jest niedbała korrekta i zaniedbanie językowe wycisnął i na wspomnianem wydawnictwie swe haniebne piętno. Co krok napotykamy tu na manierowane po warszawsku a fałszywe gramatycznie formy, jak *widziemy, musiemy, chodziemy, siedziemy, liczemy, pomówiemy* a nawet *chrabina*, które każdego dbałego o czystość naszego języka strachem przejmować muszą. Wszak taka publikacja rozchodzi się tysiącami we wszystkie warstwy, które nietylko treść ale i formę sobie przyswajają. Dokądże nas to więc zaprowadzi? Czyż sami zamach czynić będziemy na to, co nam najdroższem? Zapewne w tym względzie wydawca idzie torem pewnych pism, które są na wskróś polskie tylko jak najmniej w języku, którego polskim nazwać niepodobna. Gdyby c. k. prokuratorja miała na podobne przestępstwa osobny paragraf, nie wiemy ile numerów tych «*wzorowych*» dzienników mogłoby się od zagłady ochronić.

Znane są naszym czytelnikom z pism codziennych okropne skutki trzęsienia ziemi na wyspie Ischii. W naszym kraju rzadko się ono zdarzało.

Pierwszą wiadomość o trzęsieniu ziemi w Polsce zapisuje Długosz przed r. 1000. Kromer pisze, że w r. 1034 podczas urodzenia się Kazimierza I. również trzęsienie ziemi przypadło. Później zapisują kroniki trzęsienie ziemi w Polsce w d. 5 Maja 1200 r. Jednem z silniejszych było przypadłe w r. 1258 (Herburt. Hist. Pol. I 7). Podole wiele z jego powodu ucierpiało w r. 1517 (25 Września) Wołyń uczuł je w r. 1605 w Styczniu. Było ono stosunkowo bardzo silne, gdyż naczynia ze stołów pospadały, a ludzie z łóżek. Tamże w r. 1637 trwało przez kilka sekund. Lwów, Kamieniec, Łuck, Halicz doświadczył go w r. 1620. Dalej nawiedzone niem zostało Podole w r. 1701 w miesiącu Czerwcu. W Husiatynie mur zamkowy rozwalił się. W kronikach Kamieńca trzęsienie ziemi zapisane jest jeszcze pod r. 1711 i 1721 (20 Września). W tymże roku w Sierpniu dało się ono uczuć w Książu, Klimontowie i w Krakowie (22 Sierpnia). Tegoż samego dnia było w Cieszynie, Bielsku, Skoczowie i innych miastach szląskich. Kraków doświadczył go jeszcze w r. 1776 (27 Lutego o godz. 4-tej rano). Odprawiano wówczas z polecenia władzy duchownej solenne wotywy i publiczne suplikacje.

nadziei na twarzy. — Kogo brakuje? Mów, czy jest między niemi dziewczyna jasna blondynka?

Zapytany zmieszał się.

— Nie wiem — odpowiedział.

— Nie wiesz? — zapytał młodzian zdziwiony. — Idź i przypatrz się!

Posłaniec nie chciał słuchać rozkazu.

— Idź i popatrz! — namawiał go młodzian.

— Wszyscy są bez głowy.

— Ah! — krzyknął młodzieniec, uderzając się w czoło i z płaczem padł twarzą na ziemię.

— Dlaczego pytałeś, czemu chciałeś się dowiedzieć?

Wtedy zaczęli zapytywać Wołocha, co wie o dziewczynie. Z początku udawał pijanego i nie chciał rozumieć czego chcą od niego, ale kiedy go nastraszono i przyobiecano, że go zostawią przy życiu jeżeli powie prawdę, wyznał, że ją w powozie zawieziono między gory i tam rzucą los, komu ma przypaść.

— Idę — rzekł młodzieniec powstając z stałem postanowieniem z miejsca. — Pójdę!

— Gdzie? — zapytali.

— Odszukać ją. Zrzucaj sukmanę! — zawołał, obracając się do Wołocha — i ubieraj się w mój ubiór. — I wdział szybko prostą jego płótniankę, ukrywając pod pasem pistolety.

— Idziemy z tobą — odezwali się towarzysze — będziemy jej szukać z bronią w ręku. Będziemy ci towarzyszyć.

— Nie, pojdę sam. Ja sam prędzej ją odszukam. Bądźcie zdrowi. Gdybym nie powrócił, pozostawiam wam moją zemstę.

Poczem obrócił się do Rumuna i rzekł:

— Człowiecze, pod twoim trzosem widziałem medalion, który babka moja nosiła na szyi, i po nim poznaję w tobie jednego z jej morderców; przyrzekłem ci darować życie, bierz go w podarunku z rąk moich. Tylko trzymajcie go tak długo, nim ja będę za górami, żeby mię nie wyprzedził i nie doniósł o przybyciu mojem swym kolegom.

Pożegnał się z towarzyszami, spojrzał na jedenaście nowych grobów i dogorywającą strzechę rodzinną i poszedł w leśną gęstwinę szukać kochanki, tej jasnowłosej dziewczynki.

* *

*

Liście drzew porumieniły się pod wpływem dżdżystych zimnych nocy jesiennych, cała okolica wyglądała jakby we krwi skąpana.

Wśrod stromych skał wiodła młodzieńca ścieżka, pomiędzy szczytami tylko niekiedy zajaśniało niebo, a zwieszone na urwiskach drzewa, zdawały się co chwila spadać w przepaść. Długie, grube ich korzenie, wyglądały jak grube powrozy przymocowane w szczelinie skały.

Z dala szumiał górski potok, znosząc tu i owdzie suche liście w jedno miejsce; kiedy młodzieniec przeszedł przez wązką jego kładkę, zdawało się mu jakby go szum wody napominał, aby się wracał i uciekał gdzie może.

Daleko wśród gęstwiny ukazuje się w dolinie ukryta wioska. Ledwie może trafić na prowadzącą do niej drożynę.

Gdzieniegdzie widać tylko chaty pomiędzy drzewami, jakby osadnicy tyle tylko wykarczowali lasu, ile miejsca potrzeba na jedną chatkę.

Ale na wysokiej po nad wioską sterczącej skale, widać z mocnych kamieni zbudowany domeczek, do którego wiedzie ukryta ścieżka.

Młodzieniec zdaje się znać tę drogę, bo kroki swe skierował prosto ku chatce.

W jednej skale jest wyciosany święty. Przed figurą klęczy i modli się Wołoch. Czapkę i kosę położył obok siebie na murawie.

Kiedy spostrzegł przybysza, wstał, podjął kosę i zastąpił przybyszowi drogę.

Emeryk z zimną krwią pokazał mu pażurę.

Rumun oglądnął ją na wszystkie cztery strony, kiwnął głową: możesz iść, i położył znowu kosę i czapkę, ukląkł i zaczął się modlić przed świętym.

Przed domkiem na skale stanął przybysz i zaczął pukać do drzwi.

Jakiś Rumun przyszedł i dał znać, że trybuna niema w domu, tylko żona jego.

— Żona trybuna? — zapytał młodzieniec zdziwiony.

— Tak jest, ta blada dziewczyna, ktora mu przypadła losem.

— I to jego żona?

— On sam powiedział, przyrzekając święcie, że komu przyszłaby ochota ją oglądac, poszle go na łono Abrahama do raju.

— Nie możnaby zobaczyć tej dziewczyny?

— Nie radzę ci zaglądać, bo cię rozedrze trybun jak się dowie, zresztą ona wygląda przez tylne okienko. Idź tam, ale ja ucieknę przody, żeby mię nie zastał z tobą.

Młodzieniec udał się do wskazanego miejsca i zaglądnął do okna.

Tam w poręczowem krześle z osiki plecionem, siedziała dziewczyna, trzymając w ręku książkę do modlitwy.

Piękną i bladą była.

— Jolanka, — szepnął młodzian namiętnym głosem.

Przed kilku jeszcze laty wschodnia Galicja doświadczyła lekkiego trzęsienia ziemi.

Operetka lwowska, z występów której daje pod właściwą rubryką obszerne sprawozdanie p. M. Sieber, czyni nam znośniejszem przebywanie w rozpalonych murach Krakowa. Szczęśliwsi opuścili miasto, mniej szczęśliwi oddychają niby świeżem powietrzem na plantacjach i cieszą się operetką broniącą ich od powolnego konania z nudów i . . . . . woni naszego miasteczka.

Pani Boczkaj jest nam również przyjemną i miłą jak była panna Bocskaj. Z prawdziwem współczuciem jesteśmy dla chorej pani Skalskiej, której dźwięczny głos zachwycał melomanów. Żałujemy mocno pana Myszkowskiego, będącego ozdobą operetki. Zastąpić gry jego nikt nie zdoła, choć śpiewać może daleko lepiej. Pan Skalski zawsze pełen humoru, darzy nad wybornemi kupletami, a choć jeden z ostatnich o pomniku Mickiewicza nie podobał się Gazecie Krakowskiej, to jednak biednemu temu pod względem materjalnym i moralnym pisemku przebaczyć wypada obronę..... akcjonarjuszy. Huczne brawo jakie wywołał ów kuplet o pomniku «przed rajtszulą» był najlepszym wyrazem opinji krakowskiej.

Opowiadano nam bardzo smutną historję. W Bierzanowie żyje wieśniak Jan Wcisło. Ma on pięcioro dzieci dorosłych, dotkniętych kalectwem ślepoty. Na utrzymanie ich i leczenie stracił cały swój drobny majątek. Dziś z rodziną jest bez grosza, pozbawiony wszelkiej pomocy i opieki. Śmierć z głodu najprawdopodobniej zakończy żywot tych istot.

Jestto smutne, że w kraju naszym nie mamy instytucji, któraby przygarnęła po dobną «nędzę wyjątkową,» a jeszcze smutniejsza, że władza gminna lub krajowa nie przychodzi jej z pomocą. Może po przeczytaniu tych słów znajdzie się ktoś, co z prawa czy z obowiązku zapobiegnie katastrofie śmierci głodowej lub w najlepszym razie lub powiększeniu odpustowego żebractwa.

Dziewczyna zerwała się na ten głos znajomy. Spojrzała, zobaczyła oczekiwanego tak długo, i z radosnym krzykiem rzuciła się do okna.

— Chodź, otworzę ci drzwi, one ze środka są zamknięte — szeptała, gdy tymczasem młodzieniec obsypywał jej ręce pocałunkami.

Drzwi się otworzyły, wstąpił młodzieniec, wałęsający się Wołoch podkradł się do okna i widział cały struchlały, jak dziewczyna padła w objęcia przybysza, a ten ją ściskał i całował.

I poleciał potem odszukać trybuna. Zeszedł się z nim na drodze, i zaczął opowiadać z przestrachem, jak to romansuje u niego w domu jakiś Wołoch z uwiedzioną dziewczyną.

— Zkąd to wiesz? — zagadnął go Numa oziębłe.

— Widziałem przez okno.

— A jak śmiałeś zaglądać do mojego okna? Nie zakazałem tego? Klękaj i módl się!

Rumun zbladł, upadł na kolana i złożył ręce przed trybunem.

— Buntowniku, zawiniłeś i za to zasłużyłeś na śmierć, jeśli o tem wspomnisz przed kim jednem słowem, nie ominie cię ona.

I zostawił zgłupiałego gońca, ktoren jeszcze długo po odejściu trybuna nie mógł przyjść do siebie i tak klęczał ze złożonemi rękoma; od tej chwili nie przemówił do nikogo, aby nie zdradzić niebezpiecznej swej tajemnicy,

Trybun tymczasem szedł szybkim krokiem, a kiedy na odgłos jego chodu zerwali się kochankowie, stanął w progu i spojrzał z niemym wyrzutem na młodzieńca.

— Dlaczego się spóźniłeś?

Młodzieniec podał mu rękę. Trybun nie przyjął.

— Na mej dłoni schnie krew twojej rodziny. Jesteś przyczyną mojej hańby i swojej żałoby.

Młodzieniec pochylił głowę. Ręce opadły bezwładnie.

— Przyjm rękę jego, — prosiła trybuna dziewica słodko, a potem obracając się do Emeryka rzekła: — On uratował ciebie i mnie, on oswobodzi i rodzinę naszą.

Emeryk z zadziwieniem spojrzał na dziewczynę, Trybun pociągnął go za rękę na bok i szepnął:

— Jeszcze nie dowiedziała się o ich zgonie. Gdzieindziej była podczas tej smutnej katastrofy i ja pocieszałem ją, że żyją wszyscy. Niechaj się nie dowie o okrutnych scenach owej nocy. Biada nam obydwóm, żeśmy ich nie zdołali odwrócić.

— Ale prędzej czy poźniej musi się dowiedzieć.

— Nigdy. Wy musicie ujść ztąd, z tego kraju. Musicie udać się do Turcji.

— Ja chcę iść do Węgier!

— Nie czyń tego. Wierz mnie i nie chodź tam; złe czasy przyjdą na mieszkańców Węgier. Wasi prorocy nie przewidują tego, ale ja widzę jasno, ja wiem że tak będzie. Idźcie do Turcji, dam wam paszporty z którymi możecie bezpiecznie iść przez Multany. Tu masz pieniądze, za ich pomocą możecie tam żyć skromnie, ale szczęśliwie. Nie wstydźcie się przyjąć tego woreczka, jest to skarb waszej rodziny, z którego dla mnie przypadło dziesięć części, a który wam teraz zwracam. Przyrzeknijcie mi, że nie pójdziecie do Węgier.

— Nie przyrzekam spełnić tego, o czem nie wiem z pewnością, czy będę mógł dotrzymać: jeźli to będę uważał za stosowne, będę się trzymał twojej rady.

Numa ujął ręce dwóch pozostałych członków rodziny, a patrząc im długo w oczy, zapytał głębokim czułym głosem:

— Wy się kochacie?

Niemo skinęli, że tak jest.

— Wy będziecie szczęśliwymi?

— Tak.

— Wy zapomnicie o nieszczęściu waszem?

Nieszczęśliwi twierdzili z płaczem: «tak!»

— Idźcie więc. Niechaj was Pan Bóg prowadzi. Bierzcie pieniądze i paszporty. Idźcie czemprędzej ku Szeklerom, idźcie do Kronstadtu, przepuszczą was wszędzie, a nie oglądajcie się, dopóki nie zniknie wam z oczu ostatni szczyt gór rodzinnych. Idźcie. Nie żegnajcie się. Ani słowa. Zapomnijmy się nawzajem.

Kochankowie puścili się w drogę. Trybun patrzał za nimi. dopóki mu nie znikli z oczu, i jeszcze wtedy, kiedy go już nie mogli słyszeć, zawołał za nimi:

— Nie chodźcie do Węgier!

Tymczasem noc zapadła, trybun położył się na to niedźwiedzią skórą wyścielone łożko, na którem przeszłej nocy odpoczywała jasnowłosa dziewczynka, a pozaprzeszłej jej kochanek. Ale jakby mu byli zabrali sen ze sobą. Na tem miejscu nie mógł zmrużyć oka.

Wyszedł. Rozłożył przy otwartych drzwiach gruby koc. W sercu uczuł coś, co się rowna zadowoleniu, radości, jakiemuś słodkiemu szlachetnemu uczuciu. A sen nie schodził na jego powieki. Patrzał do północy na gwiazdy, z których od czasu do czasu jedna spadła.

Wtem pośród cichej nocy daleko, bardzo daleko, odezwało się dwa strzały.

Trybunowi przyszły na myśl dwie sieroty, i tak mu się zrobiło błogo, kiedy sobie przypomniał, że oni teraz już szczęśliwi . . . .

. . . .

Księżyc stał już wysoko, kiedy trybuna odgłos ciężkich kroków przebudził ze snu.

— Kto tam? — zapytał, podnosząc się z posłania.

Kilku Wołochów stało przed nim, między nimi był Lupuj.

— Przynosimy dwie głowy nieprzyjacielskie — rzekł Lupuj, rzucając ponurym, obrażającym wzrokiem na trybuna. — Zapłać nam za nie. — I wyjął dwie głowy z brudnej torby i położył na kocu trybuna.

Rumuni ostro, podejrzliwie, patrzyli się na twarz trybuna.

Przy świetle księżyca poznał Numa głowy Emeryka i Jolanki.

Ani jeden rys twarzy nie zdradził tego, co się działo w jego sercu.

— Poznajesz go? — rzekł Rumun — to ten zbiegły panicz który w twojej nieobecności przyszedł po *fatę* i skradł ci pieniądze, a co więcej nawet i pazury.

Trybun zwykłym zimnym zapytał głosem:

— Kto ich zabił?

— Nikt — odpowiedział Wołoch. — Kiedyśmy ich napadli, wyjął ten *fratie* pistolety z za trzosa i jednym strzałem zabił dziewczynę, a drugim siebie.

— Wy wszyscy byliście obecnymi?

— Jeszcze więcej nas było.

— Wracajcie do domu. Zwołać wszystkich. Pieniądze znalezione u zbiegów, chcę między was rozdzielić. Śpieszcie się. Kto nie przyjdzie, tego część rozdzielę między innych.

Rumuni z hałasem i skakaniem biegli napowrót.

Trybun zamknął drzwi i upadł na ziemię koło ściętych głów, całował je po sto razy i płakał jak dziecko.

— Powiedziałem wam, nie chodźcie do Węgier — jęczał z gorzkim wyrzutem. — Czemuż nie chcieliście mnie słuchać, nie trzymaliście się mojej rady.

I zachodził się od płaczu nad ściętemi głowami swoich nieprzyjacioł, jakby to były głowy jego rodziców.

Potem wstał. Oczy jego zabłysły. Wyprostował się jak

sosna, potrząsł okropną swą pięścią i krzyknął wściekłym stłumionym głosem:

— Czine mintie! *).

Po upływie kilku godzin zebrali się Rumuni przed chatkę jego. Było ich do sześćdziesięciu. Same dzikie przerażające twarze.

Trybun zawinąwszy obie głowy w jedną chustkę, położył je na łóżku, i otworzył drzwi.

Na ostatku wszedł Lupuj.

— Zamknij drzwi, żeby kto nie przyszedł — odezwał się trybun, potem postawił ich w około i długo przypatrywał się każdemu z osobna.

— Jesteście wszyscy?

— Nie brakuje nikogo!

— Uważacie się za godnych wszyscy brać udział w zdobyczy?

— Wszyscy.

— Czy to ty zabiłeś tego starego? — zapytał obracając się do Lupuja.

— Ja sam.

— A ty przebiłeś z tyłu tego mężczyznę na schodach? — zagadnął drugiego.

— Jak mówisz trybunie.

— A ty wymordowałeś wszystkie kobiety? — pytał trzeciego.

— Nie kłamię, jeźli tak twierdzę.

— I wy wszyscy jak tu jesteście, możecie się pochwalić, żeście zabijali, mordowali, podpalali i rabowali?

— Wszyscy! wszyscy! — krzyczeli bijąc się w piersi.

— Nie kłamcie. Widzicie, żony wasze słuchają pod oknem i zdradzą was, jeźli będziecie kłamać.

— Prawdę mówimy.

— Bardzo dobrze — rzekł trybun, zbliżając się do łóżka, odkrył głowy, spojrzał na nie, przycisnął ręce do piersi i zapytał:

— I gdzież podzieliście ich ciała?

— Podariśmy na kawałki i rozrzucili je po drodze.

Serce trybuna coraz się więcej ściskało.

— Czyście wy się modlili już dzisiaj? — zapytał w końcu głosem zupełnie zmienionym.

— Nie jeszcze trybunie, ale na cóż to? — odpowiedział Lupuj.

— No, to módlcie się, bo dziś ostatni wam zaświecił poranek.

— Trybunie! Czyś oszalał? Co chcesz robić?

— Chcę oczyścić narod rumuński z rozbójników i podpalaczów. Nędznicy! zamiast sławy, przysparzaliście wszędzie hańby narodowi. Podczas gdy waleczni bili się w otwartem polu, wy rozbojnicy mordowaliście bezbronne dzieci i kobiety, gdy tamci nastawiali piersi paszczom działowym, wy napadaliście pomieszkania śpiących. Trzeba was wymazać z listy synów narodu rumuńskiego. Na kolana! Anioł śmierci stoi przed wami. Módlcie się!

Ostatnie słowa wymówione były grzmiącym hukiem trzęsienia ziemi. Trybun nie był już więcej tym zimnym, nieczułym głazem, wydawał się być jakąś istotą gorejącą, powołaną do niszczenia narodów jednym tchnieniem.

Rumuni stali przed nim zdrętwiali. Ich żony z krzykiem uciekały od okna.

Trybun wyjął pistolet i przystąpił do beczki z prochem.

Z wściekłym krzykiem rzucili się koledzy na niego. Za chwilę słychać było jęk rozpaczy, potem rozległ się huk podnoszący ziemię, od którego zatrzęsły się skały, przy świetle łuny wybuchającej az pod niebo, a przerażeni mieszkańcy widzieli spadające kamienie, belki i porozrywane członki ludzkie.

Na miejscu chatki trybuna pozostała głęboka jama.

...... Słońce zeszło i uśmiechało się znowu do ziemi.

...... Spadły ostatnie z drzewa liście....

...... Z trzynastu członków rodziny Bardy, nie żył ani jeden.

*　　*
*

Wypada mi pióro z ręki, ściska się serce.

Obym mógł uwierzyć, że to wszystko jest tylko marzeniem, tylko nieforemnym utworem snów znękanej duszy mojej.

Obym mógł powiedzieć: nie wierzcie temu, nie przerażajcie się tem, wszak to sen tylko, obudzimy się i nie ujrzymy go więcej.

*) „Popamiętasz mię!"

MROWISKO.

(„LE FOURMIS").

Co za hałas śród mrowiska!...
Zbierają się — radzą — gwarzą...
Tłumy — chmary — zbiegowiska —
Spieszą — ciągną — walą — łażą!...
Na niezmiernej armii czele
Idzie król: więc ceregiele,
Więc pokłony — zapał — mowy —
Oświadczenia i owacje...
Rozmaite deputacje
Smażą sobie puste głowy,
Jakby gładko a wymownie
Kłamstwa zbiór wyrazić słownie
I madrygał szumny spleść...
Więc Cycero domorosły
Najczelniejszy między posły
Woła: „Cześć Ci, królu, cześć!...
„Twej potęgi się ulęknie
„Kula ziemska!... Świat uklęknie!...
„Chciej nas ku zwycięztwom wieść!...
„Bo Tyś wielki — armia dzielna...
„Chwałaż Tobie nieśmiertelna!...
„I nam mrówkom, chwała — cześć!"

*　　*
*

Król wysłuchał — łapką skinął:
„Kędy sięgnę — wszystko moje!..."
Wojska w szyk bojowy zwinął...
„Naprzód! naprzód! na podboje!..."
Wielkiem męztwem armia błyszczy —
Kędy przejdzie, wyżre,... zniszczy...
Wreszcie: „Stój!... Wojenna rada!..."
Nieopodal, w gęstej trawie,
Zielonych pluskiewek stada
Chodzą: „Armjo! krok ku sławie!...
„Pluskwy chodzą tak swobodnie!...
„Toż nieznośnie, to niegodnie!...
„Tych zuchwalców trzeba zgnieść!..."
Armia głupotą pijana,
Wrzeszczy: „Za naszego Pana
„Zginiem chętnie!... Cześć mu, cześć!...
„Pójdziem na świata krawędzie!...
„Niech pluskiewek więcej będzie
„Od nas — choćby razy sześć!..
„Król nasz mądry — armja dzielna...

„Chwałaż jemu nieśmiertelna —
„I nam, mrówkom, chwała, cześć!...“

* * *

Idą tedy na pluskiewki.
„Hejże, hurra!...“ krzyczą srodze...
Lecz i z niemi nie przelewki:
Mądry naród — dzielni wodze —
Patriotów zgraja cała —
I żołnierstwa garść niemała...
Stanął zastęp cale mężny...
„Co ma stać się, niech się dzieje!...“
Wali mrówek rój orężny...
Walka kipi... krew się leje!..
W cudzym kraju — trudna rada,
Krocie głupich mrówek pada —
Trupa — choćby miotłą mieść!...
Lecz — zostało jeszcze wiele —
Boć to mrówki!... A więc śmiele
Krzyczą: „Cześć królowi, cześć!...
„Tyś pogromcą barbarzyńców...
„Tyś zwycięzcą tych złoczyńców,
„Co, jak my, chcą żyć i jeść!...
„O Ty wielki!... armia dzielna!...
„Chwała Tobie nieśmiertelna
„I nam z Tobą chwała, cześć!...“

* * *

Więc pochody tryumfalne
Ku stolicy — ku mrowisku...
Śpiewa armia pieśni chwalne...
Jaki taki niesie w pysku
Trofea z zdobytej trawy...
Zaś ludowi dla zabawy
Wloką pluskiew dwa dziesiątki...
Biuletyny szumne, liczne
Otrąbują wszystkie kątki,
Jakie boje tytaniczne
Król przedsiębrał... jakie trudy
Podjął, by w półdzikie ludy
Nasionko kultury wnieść!...
A więc zgraja pychą piana,
Rozhukana, wyuzdana,
Woła: „Cześć Ci, królu, cześć!...
„Tyś nam zdobył stogi trawy,
„Dał nam pluskwy dla zabawy,
„Które możem z świata zmieść!...
„O Tyś mądry — armia dzielna!...
„Chwałaż Tobie nieśmiertelna
„I nam z Tobą chwała, cześć!...

* * *

I kraj — tryumfalne arki
Dla wielkiego władcy stawi...
Daje uczty — zgina karki —
Służy — płaci — kadzi — sławi...
Czerń, która buduje łuki,
Głodem mrze... lecz: „Stare sztuki!...
„Tu nie chodzi teraz o to!...
„Głupcy! Cezar nasz przybywa!...
„Hymny śpiewaj mu, hołoto!...“
I czerń zahukana śpiéwa,
Choć nic a nic nie rozumié
O co idzie, — prócz, że tłumi,
Głód... a chciałaby co zjeść...
Nowy Pindar w ważnym razie
Znalazł się — i wnet w ekstazie
Woła: „Cześć Ci, królu, cześć!...
„Tyś bicz na ludzkości wrogów!...
„Kult rodzinnych naszych bogów
„Między dzicz Tyś zdołał wnieść!...
„O Tyś jeniusz!... armia dzielna!...
„Chwałaż Tobie nieśmiertelna
„I nam z Tobą chwała, cześć!...“

* * *

Zdolny mówca — w wielki zapał
I w emfazę wielką wpada...
Nóżką się za główkę złapał
I wykrzyka: „Biada! biada!...
„Biada wam, narody świata:
„Oto wielki jeniusz wzlata,
„Który zgładzi was, gdy skinie!...
„Jakiż los dziś ludów, króli,
„Gdy na całej ziemskiej kuli,
„Jeden władca w tej godzinie!...“
Nie wiem, czy był końca blizko, —
Bo wtem urwał... Ah!... mrowisko
Coś tratować jęło, gnieść!...
Milionami ginie mrowie...
Cóż się stało? — Nogi krowie
Depcą mrówki i ich cześć!...
Wielki naród, sławni mówce
Gdzie kto zdoła — przez manowce
Zmyka, by gdzie w jamki wleźć...
Zginął król wraz z armią dzielną
I z swą chwałą nieśmiertelną!...
. . . .
O, cześć nogom krowim, cześć!...

Z Berangera, **L. Kozłowski**

SZKICE ETNOGRAFICZNE.

Napisał **Fr. Ksaw. Mroczko.**

III.

Treść: Upiory. Skazki o upiorach. Upiorzyce. Pogrzeby dzieci i wisielców. Dzieci niechrzczone.

Wedle pojęcia ludu upiorem [1]) jest człowiek, mający dwa serca. Jedno z nich przestaje bić ze śmiercią, drugie zaś żyje i dlatego właśnie upior nie daje spokoju po śmierci, włóczy się po wsi i straszy żyjących.

Dawniej ucinali upiorom głowy, kładli w nogi i przebijali pierś kołem osikowym.

Dzisiaj oczywista nie spotkamy już tego barbarzyńskiego zwyczaju, ponieważ zabobony nikną coraz więcej z światłem cywilizacji, a że dawniej tak było, najlepszym dowodem jest to niezawodne lekarstwo, *aby upior nie chodził, potrzeba mu uciąć głowę, położyć w nogi i przebić pierś kołem osikowym.*

Każdy upiór zjawia się po śmierci najpierw u swoich krewnych lub dobrych znajomych, odwiedza także sąsiadów i straszy wszystkich, kto mu się nadarzy.

Umarł raz parobczak Iwaś i zostawił dziewuchę Hanusię, którą bardzo kochał.

Jednej nocy puka ktoś do okna i mówi: otwórz. Dziewczyna nakryła się z głową kożuchem i trzęsła się ze strachu jak w febrze biedaczka.

Wtem coś zatrzasnęło drzwiami od sieni i mówi: otwórz! Dziewczyna wstała, otworzyła drzwi i w nogi do chaty, Iwaś za

[1]) *Opyr* w narzeczu ludowem. Już na katafalku poznać upiora. Twarz jego nie okrywa się śmiertelną bladością, ale jest *czerwoną* tak, że weszło w przysłowie: „czerwony jak upiór“ (czerwonyj jak opyr).

nią i mówi: Przyjechałem po ciebie moja hołubko Hanusiu. Przed chatą stoi mój koń, zbieraj się, pojedziesz zemną, u mnie będzie ci dobrze, ja mam pałac wielki, wielki, a tam tak pięknie, żeś tak jeszcze nigdzie nie widziała.

Dziewczyna struchlała, ale po chwili oprzytomniała i mówi: Dobrze, pojadę, ale mam tu gdzieś półsetek płótna w swojej skrzyni. Wyjęła klucz, dobyła płótno i mówi: jedźmy! Parobek wsiadł z nią na koń, który był czarny jak smoła, z nozdrzy buchały mu płomienie. Usiedli i polecieli wiatrem na cmentarz. Skoro nad grób Iwasia przyjechali, koń stanął (a był to także upiór) mówi do Hani parobczak: Leź.

— Ja nie wiem którędy, odpowiedziała dziewczyna.

— Tą dziurą odrzekł Iwaś, wskazując na otwór w grobie.

— Leź ty Iwasiu, ja ci podam płotno.

Polazł. Przez otwór w grobie ciągnie podane płótno, ale że go było sporo, ciągnął długo, wtem kur zapiał, a dziewczyna uciekła do domu [2]).

Raz wracał chłopek z jarmarku. Już było późno w noc, jak przejeżdżał przez mostek nieczysty, gdzie rzadko kogo jakiś strach nie zaczepił.

Zaledwie kilka kroków ujechał, słyszy przed końmi żałośny bek jagnięcia. Wstrzymuje konie, wstaje z wozu, patrzy, a tu na drodze leży czarne jagnię.

«Hm, myśli sobie, pewnie jakieś jagniątko zabłąkało się z trzody, trzeba je wziąć ze sobą, może się kto po nie zgłosi, a jeżeli nie, to już będzie moje.» Mówiąc to, podniósł jagnię z ziemi, złożył je na wozie, zaciął szkapy i jedzie dalej.

Jagnię leżało cicho, od czasu do czasu pobekując, wtem rzuca mu się na szyję, śmieje się przeraźliwie i mówi: Zawieziesz mnie na cmentarz — ja jestem upiorzyca.

Rad nie rad, zajechał chłop pod bramę cmentarną, upiorzyca zeskoczyła z jego barków i mowi: jedźże człowiecze spokojnie, a nie oglądaj się po za siebie, bo będzie źle.

Chłop zaciął konie, włosy mu kołkiem stanęły na głowie a czapka sama z głowy złazi, chłop ją naciska — nic nie pomaga. Chcąc się przekonać czy daleko ujechał od cmentarza, spojrzał po za siebie, aż tu ta sama upiorzyca siedzi znowu u niego na barkach.

Ledwie żywy dojechał biedaczysko do domu; zeskoczył z wozu, uciekł do chaty i upiorzyca nie wiedzieć gdzie się podziała [3]).

Chorował długo z przestrachu biedaczysko po swojej jeździe z upiorzycą.

IV.

Najprostsze są pogrzeby małych dzieci. Dziecięcia, które przyszło na świat nieżywe, nie kładą na ławie, tylko wkładają do prostej, białej trumienki i powierzają grabarzowi, który bierze pod pachę, niesie na cmentarz i zagrzebuje pod parkanem albo pod rowem [4]) na cmentarzu. Takie dzieci, zmarłe bez chrztu latają zwykle po Jordanie [5]) i wołają: chrztu! chrztu! Jeżeli kto z żyjących usłyszy takie żałosne wołanie, powinien rzucić kawałek chustki albo płachty, mówiąc: Jasiu! Marysiu! (albo jakiekolwiek dać imię) ja ciebie chrzczę w imię ojca itd.

Tak ochrzczone dzieci lecą prosto do nieba.

Nic rzewniejszego nad pogrzeb małej dziewczyny. Ubraną w czystą bieliznę z wianuszkiem na głowie z barwinku uwitym, z obrazkiem świętego w ręku, wkładają do białej, oheblowanej trumienki. Jeden z sąsiadów albo dziadek szpitalny bierze pod pachę albo na barki.

Za trumienką postępuje tylko rodzina. W cerkwi lub w kościele odprawi się cichy pogrzeb i bez żadnej pompy zaniosą na cmentarz, grobarz pokropi grób wodą święconą i usypie mogiłkę niewielką, na której stanie maluśki krzyżyk.....

Najsmutniejszym jest pogrzeb samobójcy a szczególnie wisielca. Śmierć to haniebna, a wielką zniewagę wyrządza ten synowi, który mu wypomina, że jego ojciec skończył na gałęzi.....

Pogrzeb wisielca odbywa się wieczorem. Do trumny wkładają go na dno ustami, aby się tak łatwo podniosł, jeżeli mu się zechce włóczyć po świecie. Trupa niosą na marach albo wiozą, dzieci wiejskie uciekają ze strachu, chowając się po za płoty lub w rowy. Nikt mu nie towarzyszy na miejsce wiecznego spoczynku, jakie mu wybierają na cmentarzu pod rowem, albo w samym rowie. Nawet głos dzwonów, ani żałobny śpiew pogrzebowy nie pożegna go na daleką a nieznaną podróż. Taki pogrzeb ma w sobie coś głęboko przerażającego i zostaje długo w pamięci wioski mieszkańców. To też po wioskach wypadki samobójstwa są nader rzadkie a wydarzają się zaledwie raz na dziesięć lub pietnaście, a nawet więcej lat.

Bywały wypadki, że wisielca nie chciano nawet pochować na cmentarzu w miejscu nie poświęconem, ale wywożono za wieś i grzebano na granicy wioski w rowie, a wkładając do trumny przybijali trupa do dna kołem osikowym. Obyczaj ten dawniejszy — dzisiaj już się zatarł.

Jeżeli się kto obwiesi, natenczas wedle pojęcia ludu musi nastąpić jakaś zmiana w powietrzu. Zazwyczaj bywają silne burze, które zrywają dachy, wyłamują drzewa z korzeniami.

Powiadają, że to djabli tak się cieszą, że się im udało duszę wisielca zabrać do piekła.

V.

Bohynie, rodzaj niewieściego upioru. Porywanie dzieci. Skazki.

Jest jeszcze rodzaj upioru niewieściego. Są to istoty płci żeńskiej, z włosami długiemi, rozpuszczonemi, aż do pięt sięgającemi, a piersi mają tak duże, że je na barki zarzucają [1]). Stopy mają kurze, mieszkają w jarach i nazywają się *bohyniami.*

Dziecię niochrzczone, a nawet ochrzczone jest w ich mocy.

Bohynia zabierając dziecię, zostawia matce swoje, brzydkie, chude, mające niezmierny apetyt. Ssie ustawicznie, w skutek czego traci nieszczęsna matka siły i umiera. Takiego podrzutka nazywa lud nasz *widmina.*

Aby się pozbyć nieproszonego gościa, należy go położyć na śmiecisku, bić prętami brzozowemi mówiąc: weź swoje, oddaj moje. Wtedy «bohynia» przyleci, litując się nad swoim bitym dzieciakiem i odda zabrane.

Pewnemu gospodarzowi podrzuciła «bohynia» swoje dziecię.

Raz wyszli wszyscy w pole, gospodarz schował się za piecem i obserwował podrzutka leżącego w kołysce.

Po niejakim czasie podnosi «widmina» głowę, rozgląda się po chacie, wyciąga się w kolebce i tak rośnie, że już głową sięga do sufitu. Chłop struchlał. Następnie wyłazi z kolebki i idzie do pieca, gdzie stało jadło przygotowane na południe. Wyjadło wszystko do czysta z garnków i ułożyło się do snu najspokojniej w świecie.

Wtedy chłop wylazł z ukrycia, porywa podrzutka za nogi, wynosi na śmiecisko, bije prętem od serca mówiąc: weź swoje, oddaj moje. W tej chwili przyleciała z wielkim szumem «*bohynia,*» rzuciła gospodarzowi zabraną dziecinę, a zabrała swoją.

Pisałem w Bełzie d. 22 stycznia 1883 r.

---

[2]) Tę gadkę opowiadano mi w Wiśniowczyku i w Romanówce.

[3]) Opowiadano mi w Mogielnicy.

[4]) Po wsiach bywa cmentarz rzadko oparkaniony, albo omurowany. Otacza go tylko głęboki rów, który zczasem pokrywa się trawą i kwiatami polnemi, zasianemi Bożą ręką.

[5]) Jordan (Bohojawłenijo) wypada 18 stycznia. W święto to odbywa się uroczyste święcenie wody.

[1]) Romanówka, Mogielnica, Rakowce.

Z WŁOCH.

przez S. M.

Dokończenie.

Stosunki polityczne. Mówiąc o bazylice Sgo Piotra, mimowoli nasuwa się na myśl szanowna postać Piusa IX., owego więźnia w Watykanie, i jego istotnie smutne położenie. Własności kościoła papież alienować nie może, ani jej zrzec się lub ustąpić. Bronić jej musi. Strona przeciwna, nietylko ją gwałtem zagrabiła, lecz do łupieztwa jeszcze (np. przy zajęciu Kwirynału) dołączyła. Ztąd między kościołem a rządem konflikt ogromny, a modus vivendi do wynalezienia prawie niepodobny, a błogie posłannictwo duchowieństwa jakżeż niezmiernie utrudnione. Papież niechcąc pojawieniem się swojem ani w mieście, ani w okolicy wywoływać żadnych manifestacyj, ni przychylnych sobie, któreby się mogły stać powodem zaburzeń nieprzyjemnych, a tem samem ubliżających, skazał się na ciągłe domowe więzienie. O kościele i jego sprawach, jego majątku i instytucjach, wyrokuje włoski parlament wed ug wyrażenia: de me sine me. Głowa kościoła zaś nieprzyjmując od kraju rocznej dotacyi, skazuje się na konieczność życia z jałmużny.

Lecz czyz dlatego, że Włochy dotąd jednym, w całość połączonym krajem nie były, czyż można z pseudohistorjozofami dowodzić, iż nie powinny nim być nigdy w przyszłości? Czyż połączenie Italii nie było zawsze podstawą polityki wielkich papieży, chcących ojczyznę z obcych wyzwolić przemocy, czyż nie o tem marzyli wszyscy ich mężowie stanu, poeci? Samże Pius IX na Św. Stolicę wstąpiwszy, czyż nie miał podobych myśli?

Wszakże każda epoka ma swoją myśl przewodnią. Były czasy, w których uczucie religijne światem rządziło i było wszystkich dziejowych wypadków głównym motorem. Ono krzyżem piersi rycerzy znaczyło i do Jerozolimy ich wiodło. Ono w innych wiekach przez długie lat 30 nie dało miecza włożyć do pochew, a w każdym prawie kraju było strasznego krwi bratniej przelewu powodem. Dziś wojny religijne są niepodobieństwem. Innych okresow główną treścią były dalekie zamorskie wyprawy, zdobycze lub odkrycia na celu mające. W drugich znowu dobijanie się równych praw przez niższe warstwy, ogromne wojny i społeczne wstrząśnienia wiodły za sobą. Dziś odezwało się żądanie, by narodowość była podstawą podziału świata i politycznych urządzeń. (Ta słuszna zasada bywa pokrywką nawet zgubnych i fałszywych dążności, chcących wspólną szczepowość kłaść za podstawę: pangermanizm, panromanizm, panslowianizm).

Jakże samemu tylko jednemu, owemu najstarszemu ze wszystkich narodów, ktory więcej wydał ludzi zasłużonych w badaniach, odkryciach i naukach, mistrzów w każdym rodzaju sztuki, poetów, pisarzy i mężów stanu, będących nietylko swej ojczyzny, lecz świata całego zaszczytem, więcej ich wydał, niż wszystkie inne kraje pospołu, jakże narodowi tak uposażonemu, tak dumnemu ze swej przeszłości i położonych zasług, geograficznie zupełnie od drugich oddzielonemu, odmówić tego, co nawet Rumuny — ów, jeżeli nie najmłodszy, to przecież nie najokazalszy naród europejski pozyskały? Nie dał się też zmusić do znoszenia w pewnych okolicach rządów i najlepszych, ale obcych, w drugich narodowych, lecz na demoralizacyi mas nikczemnie się opierających, ani nareszcie w innych do znoszenia rządu wprawdzie ojcowskiego, lecz do żadnego z istniejących gdzieindziej na świecie niepodobnego.

Jeżeli tak zaplątanego węzła gordyjskiego sprawy świeckiej władzy papieża i sprawy jedności Włoch nie śmiała nieoględnie swym ostrzem przecinać rewolucja, mogła go tylko zwolna, mądra reforma z góry idąca, za pomocą dobrze obmyślanych koncesyj rozplątać. Podobnie jak wspaniała myśl zrekonstruowania Rzeszy niemieckiej przez cesarza Franciszka Józefa w Frankfurcie podniesiona (gdyby jej były Prusy nie sparaliżowały), byłaby narodowi niemieckiemu przyniosła pożądaną jedność, a zarazem chroniła go od zmian radykalnych, przez jakie teraz przechodzi, od dwóch krwawych kampanij, tak też i projekt federacji włoskiej przez Piusa IX powzięty, byłby nie tykając rządów toskańskiego a w Lombardzko-Weneckiem austryackiego, których tak bardzo ludność teraz żałuje [1]), doprowadził do rozsądnych reform w Neapolu i w Rzymie, byłby zadowolił interes ogólnonarodowy i patrjotyczne uczucie, a nie negował prowincjonalnego życia, tak potrzebom kraju i jego historycznemu rozwojowi odpowiedniego.

Zapomniano i w Niemczech i w Italji, że od chwili gdy Macedonia wszystkie greckie państewka w jednę monarchię połączyła, i sławna wolność, wysokie wykształcenie i ogromna ich zamożność stanowczo na upadek były narażonemi.

W skutek rozkiełznania namiętności w r. 1848, przyszło do tego, że reformatorskie zamiary papieża upadły, że Pius IX Patrimonium pełń utracił, a od ukochanej Italii nareszcie się odwrócił, a ojcowski i zacny Wiktor Emanuel ulegając konieczności i broniąc kraju i monarchicznej zasady przed socjalno-republikańskim kataklizmem, działając wbrew traktatu Zurychskiego, nietylko włoskie dzielnice zagarnął, ale nareszcie i Rzym zagrabił, a monarcha katolickiego kraju, pozostający z całym swym rządem w klątwie kościelnej, wstydził się przebywać w wiecznem mieście wobec zdetronizowanego i złupionego papieża.

Jakżeż żałować należy, że namiętność i rozdrażnienie nie dozwoliły użyć najnaturalniejszego i najprawiedliwszego środka do załatwienia całej tej sprawy. Środkiem tym było powierzenie swych krajów, lennym sposobem, zachowując sobie dominium directum, i za roczną oznaczoną opłatą in recognitionem tej zwierzchniej własności, w dziedziczną administracyą królowi włoskiemu. W takim razie oba by mogli obok siebie przebywać w Rzymie, bo każdego byłby inny zakres, w obręb drugiego nie wkraczający, wszelka emolucja lub postpozycja byłyby niemożebnemi. Niepodległość Ś-tej Stolicy byłaby ugruntowaną, a Włochy pozyskałyby rząd świecki i stolicę. Wszakże i Neapol niegdyś w ten sposob w administracyą powierzyli papieże, a że bezpośrednia świecka władza nie jest konieczną, dowodzi tego historja. Istniało papieztwo przed nadaniami hrabiny Matyldy, istniało bez Bolonii, a za Napoleona I. istniało bez wszelkiej władzy. Mogłoby więc było i dzisiaj istnieć spokojnie, zachowując sobie tylko tytuł własności i feodalne zwierzchnictwo swych posiadłości, ale, gdyby samo na to przystało, a nie stawało się ofiarą gwałtu.

Jak i kiedy te zawikłane stosunki znajdą swe pomyślne rozwiązanie? trudno, a raczej niepodobna odgadnąć.

Lecz zganiwszy wszystko, co w postępowaniu rządu było do zganienia, co było radykalizmem, uzurpacją, złą wiarą, czyż nie można zresztą administracyjnych jego czynności sądzić bezstronnie? Mnie on się wydaje mądrym i dzielnym, a widzę, że z wielkiemi ma do walczenia trudnościami. Zarzucają mu deficyt i finansowe kłopoty, uciążliwe podatki. Lecz wspomnijmy na owe nieszczęśliwie prowadzone wojny, na ogromne, wraz z no-

---

[1]) Znałem Wenecyą za austrjackiego panowania. Naówczas, pomimo że staraniem Franciszka Igo wszystkie przez Napoleona I. zabrane arcydzieła z Paryża znowu wróciły, pomimo że Ferdynand I. Tycjanowi w kościele Frazi pomnik postawił, pomimo że rząd swym kosztem kolosalne tamy na morzu budował ku ochronie miasta, że językiem urzędowym był włoski, a Włosi wyłącznie prawie publiczne zajmowali posady, pomimo że krajowe instytucje zachowano, że papierowych pieniędzy nie zaprowadzono (co dla skarbu wielkie szkody powodowało) i że nawet, aby miłości własnej krajowców nie drażnić, na owych sławnych masztach przed kościołem Sgo Marka nie żółto-czarne, lecz austrjackiej marynarki biało-czerwone bandery zaciągano, pomimo tego niezadowolenie było powszechne, teatr Fenice był zamknięty, a nawet muzyce na placu Sgo Marka nikt się nie przysłuchiwał. Jakżeż jest dzisiaj? W niemieckiej restauracji Bauera wszędzie plakaty: „Birra dopia di Vienna,“ Wiener Bockbier, w karnawał: trzy sale na dole a trzy na I-m piętrze zapchane rodzinami. Panie, panienki mają przed sobą „una halba;“ wszyscy jedzą „una krenwirstel,“ służba niemcy, a znajomi pokazują mi dawnych austrjackich oficerów tu mieszkających na pensji, Włochów i Niemców. — Kto tylko odrobinę umie po niemiecku, popisuje się z tą erudycją. Na placu grają walce, po balach walca tańczą, nawet cygara z Austryi przemycane tu palą. W zbiorach pałacu dożów postawiono biust marmurowy Franciszka I. Pytam kto to? — Imperatore d'Austria — a cóż on tu robi? „On wiele dobrego Wenecji wyświadczył!“ to była odpowiedź. Otwarcie tu żałują austrjackich czasów i cwancygierów. Jedna z gazet krytykująca rząd obecny powiada, aby wstępował w ślady austrjackiego w dbałości o dobro miasta! Prawda, że bieda tu wielka. Na 130,000 ludności, jest 30,000 biednych, a między niemi 11,000 potrzebujących wsparcia, zaś z tych 2000 tej zimy musiano żywić codziennie.

W Weronie, — w Medjolanie napotykałem na zupełnie podobne objawy. Czyż w nich bardziej upatrywać od wieków wkorzenionego zamiłowania i potrzeby decentralizacji, która przeciw obecnej unifikacji remonstruje, czy też dziwić się zmienności sądów i usposobień mniej oświeconej ludności?

wonabytemi krajami przejęte ciężary i długi, na koszta przekształcenia całego tak cywilnego, jak i wojskowego organizmu nowego, wielkiego państwa. Nie można jednak zaprzeczyć, że stosunki te się coraz polepszają.

Rząd stara się podnieść kraj i uporządkować, a w tej czynności stosując się do różnych stosunków, w rozmaitych częściach niejednako postępuje. I tak w krajach z obecnego stanu zadowolonych, to jest w dawnych swoich posiadłościach w Toskanii i w Lombardzko-Weneckich prowincjach, jest dla starych nawyknień pobłażliwym, nieledwie patryarchalnym. Wie on bowiem, że zapóźne oddawanie sprawiedliwości austrjackiemu i toskańskiemu rządowi i wzdychanie za cwancygierami i garnizonami, jest nieskodliwym platonizmem. Parma, Modena, są mało znaczne. Lecz inaczej w Rzymie. Tu dwie skrajne istnieją partje, sobie nawzajem wrogie i nieprzyjazne rządowi. Są tu stronnicy świeckiej władzy i partja czerwona. Obie do manifestacyj i wywoływania nieporządków gotowe, a druga nawet kierownictwo swe rządowi narzucać chcąca. Obie też żelazną ręką powstrzymuje i do spokojności przymusza. Porządek też panuje tu zupełny i większego nawet w Prusach nie znajdzie. Straż bezpieczeństwa, gwardja miejska i karabinierzy królewscy, najenergiczniej też swe obowiązki spełniają. W Neapolu, gdzie Burboni nie szukali punktu oparcia i podstawy ani w szlachcie, ani w mieszczaństwie, ani w wojsku, lecz w motłochu, w lazaronach, dając im w zamian bezkarność, pozwalając by Camora [1]), owa jedyna w świecie organizacja zdzierstwa na teroryzmie opartego, jawnie funkcjonowała, inne znów zachodzą stosunki. Przy takiej edukacji, można sobie wyobrazić jak straszną, jak okropnie podłą stała się populacja niechcąca i niepotrzebująca pracować. Przy wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu, jaka jest wszystkim południowcom właściwą i przy obchodzeniu się zupełnem bez mieszkania, a prawie zupełnem bez odzieży, wskutek tamtejszego klimatu, ludność żadnych prawie nie ma potrzeb, które mieszkańców północy do natężonej przymuszają pracy, ludność ta, o której słusznie powiedziano, że daje najodważniejszych zbójów i najtrwożliwszych żołnierzy, ludność, u której odważny «bravo» zbója oznacza, ma nieprzezwyciężony wstręt do służby wojskowej i dla tego «Włochów,» — tak bowiem rząd i jego organa tu nazywają, gdy siebie Napolitami mianują, — nienawidząca, oddaną jest zupełnie duchowieństwu niewyrównywającemu rzymskiemu ani w cnotach, ani w wykształceniu, a mającemu słuszne do rządu urazy. Gdy zaś ludność ta w razie rozruchów, i u wsi mieszkańców, nie lepszych wcale, owych słynnych brygantów, poparcie by znalazła, musi więc być ostrożnie i przezornie ze strony władzy traktowaną.

Dlatego też podróżnego z Rzymu przybyłego, uderza w postępowaniu tutejszej policji względem motłochu jakowaś miękkość i pobłażliwość. Działa ona zwolna i systematycznie, a za pierwsze zadanie postawiła sobie przyzwyczaić lazaronów by sypiali pod dachem i dlatego zmusza ich do korzystania z bezpłatnie dla nich po klasztorach przygotowanych noclegów. Słusznie ona sądzi, że tylko początki są tak trudnemi, a te przeprowadziwszy, reszta potem pojdzie już sama z siebie.

Nie prędko jednak tu rząd stanie u celu. Skutki Burbońskiego wychowania bardzo są jeszcze widoczne. Tu wszyscy kradną. W każdym sklepie, w każdej restauracji wszyscy oszukują, a przeciw obcemu w otwartej są zmowie. Nie przystać na wygórowane żądanie fiakra, a żaden inny się nie odważy jechać za niższą cenę, choćby ona taksę przewyższała, gdyż pierwszy towarzyszyć będzie wszędzie obcemu, a znakami objasni innych wiele mają żądać od niego. W pierwszej kawiarni de l'Europe, broni portier wejścia lokalu od chmary włóczęgów i złodziei, porywających nawet przez okna co dopadną. U fotografów, jako typy miejscowe, przedstawieni są złodzieje obcych okradający! Potomkowie Mazaniella dość są przyzwyczajeni do tego, by im naukę o własności kijem wykładać. Amerykanie zaś są głównemi tej metody propagatorami. Smutno pomyśleć, że tu pół miliona złodziejów razem w jednem mieści się gnieździe. Gdy mi zaś zaręczano że Sycylia jest jeszcze gorszą i że przysłowie powiada, że niema Sycylijczyka, któryby za 5 franków kogobądź nie zamordował, zrzekłem się przyjemności zwiedzenia tej interesującej krainy.

Trudne więc w południowych prowincjach zadanie rządu, lecz chociaż zwolna, spełni on je zupełnie. Posługuje się przytem z najlepszem powodzeniem ogólną służbą wojskową i przerzucaniem pułków z południa na północ i naodwrót.

Zresztą wiele już osiągnięto. W Rzymie w karnawał, na Corso di Galla, widziałem jak króla, następcę tronu ks. Humberta i księżnę Margheritte z sympatją i uszanowaniem witano. W Wenecji zaś na imieniny królewskie sam Patryarcha odprawiał u Św. Marka nabożeństwo. Reszty czas dokona, byleby tylko owa najtrudniejsza kwestja rzymska mogła być załatwioną. Nawet materjalny sposób nabycia obcych posiadłości, któryby gdzieindziej podkopywał pojęcia prawne, tu wnet zapomnieniu ulegnie, bo kraj ten do gwałtownych przemian przyzwyczajony, a prowincje te swój, a nie obcy zagarnął.

Dla tego w przyszłość Italji wierzyć można, jej gwiazda nie zgaśnie, a choć niejedno można było inną i lepszą drogą zrobić, to przecież przy materjalnem i moralnem uposażeniu ogromnej większości włoskiej ludności, przy jej wielkiej przeszłości, zapewne i świetna przyszłość ją czeka. Ja jej takowej z serca życzę, bo pokochałem Italię i opuszczając ją, wołam jej: Salve!

S. M.

[1]) Stowarzyszenie to obejmowało ludzi wszystkich stanów, solidarnie sobie pomagających, a płatnych ze wspólnej kasy odpowiednio do spełnianych przez nich usług. Camora publicznie wybierała opłatę targowego, karząc niepłacących sztyletem.

PAL GO DJABLI.

(„Le petit homme gris“).

Mój znajomy — był to człeczek przedni!..
Jak jabłuszko krągły i rumiany...
Uroczystość, czy to dzień powszedni —
Zawsze w szarą kapotę odziany...
Ma pieniądze — to je wnet rozsieje,
Bo i bez nich jakoś wyżyć może...
„Pal ich djabli!..“ I tylko się śmieje...
Bo wesołyż był, wesoły!.. Boże!..
Wspomnieć przyszłość, on rękami macha:
„Pal ją djabli!.. Czyliż jej się zlęknę?..
„Ja?.. przyszłości?.. Cha-cha-cha-cha-cha-cha!..
„Przestań, proszę, bo ze śmiechu pęknę!..“

Lubi podjeść smacznie i obficie
I obiadek dobrem winem spryskać...
Tajał, topniał jak wosk przy kobiécie,
Dałby wszystko, by jej łaski zyskać!..
Trzebaż groszy — zwykłe to koleje...
Tedy chwyta, co gdzie tylko może, —
A z dłużników głupich w głos się śmieje!..
I wesołoż mu, wesoło, — Boże!..
Wspomnieć długi, — aż rękami macha...
„Pal ich djabli!.. To — morały piękne!..
„Płacić długi?.. Cha-cha-cha-cha-cha-cha!..
„Przestań, proszę, bo ze śmiechu pęknę!..

Zawsze w zimie wiatr po izbie dmucha...
Deszcz z pułapu ciecze niby z rynny...
Brak opału... Lecz on w garście chucha...
I nie traci ni na chwilę miny,
Dla ogrzania kielich w gardło leje —
I, okrywszy się czem tylko może, —
Spi w najlepsze, aż się we śnie śmieje...
Bo wesołyż był, wesoły!.. Boże!..
Wspomnieć biedę, on rękami macha:
„Pal ją djabli!.. Ja się biedy zlęknę?..“
„To mi farsa!.. Cha-cha-cha-cha-cha-cha!..
„Przestań, proszę, bo ze śmiechu pęknę!..“

Żona jego, kobiecina gładka,
Radzi sobie jako może w biedzie:
Wystrojona co dzień, jak magnatka,
Z paniczami na spacery jedzie...
Ludzie widzą, co to tam się dzieje...
Drwi z mężulka kto jak chce i może...
On to słyszy... lecz się tylko śmieje...
I, wesołoż mu, wesoło.. Boże!..
Wspomnieć żonę — aż rękami macha:
„Pal ją djabli!.. Baba wie co piękne!..
„Niech się bawi!., Cha-cha-cha-cha-cha-cha!..
„Przestań, proszę, bo ze śmiechu pęknę!..

Gdy podagra wreszcie go rzuciła
W łoże śmierci biedne i samotne, —
Przyszedł ksiądz... więc mówił rzeczy siła:
Że nagrody będą tam stokrotne...
I że piekło straszne kary zieje...
I że skrucha zgładzić grzechy może...
Chory milczy... Wtem jak się rozśmieje!..
Ksiądz przelękły wzywa Imię Boże...
Żegna go... On rękami macha:
„Pal go djabli!.. Piekła ja się zlęknę?..
„To mi trafił!.. Cha-cha cha-cha-cha-cha!..
„Milcz, księżuniu, bo ze śmiechu pęknę!..

Z Berangera **L. Kozłowski.**

UMIEJĘTNOŚĆ MECHANIKI I KOBIETY.

Pod powyższym tytułem zamieścił Alfred Birk w jednem z czasopism niemieckich nader sympatyczny szkic obyczajowy, usiłując analogicznem zestawieniem faktów, które do historji kultury przeszły, wykazać wpływ indywidualny, bądź pośredni kobiet, względnie ich inteligencji na umiejętności w ogóle, w dziedzinie fizyki, mianowicie na polu odkryć i wynalazków w szczególe, gdzie dotąd mężczyzna wyłącznie berło panowania dzierżył. Autor przejęty pietyzmem dla roli kobiecej i jej misji cywilizatorskiej, zaznacza na wstępie umiejętnie traktowanego szkicu, iż zwolennicy emancypacji kobiet, do rzędu których i autor się zalicza, przepowiadają złe czasy i smutne głoszą proroctwa rodzajowi mezkiemu, który w pełni swego ducha z zapałem i energią pracuje, działa i tworzy. Ta wojna pomiędzy panującemi bóstwami, a panowania żądnymi Tytanami, za dni naszych wre na nowo, z tą jednak różnicą, iż zwycięztwo chociażby częściowe, ma być udziałem ostatnich, jeśli przepowiedniom wierzyć i ród piękny z Tytanami porównać można. Kto z nas ośmieli się wątpić, iż we wszystkich gałęziach działalności ludzkiej, w których mężczyzna produktywną czynnością swego ducha dotąd tak wielkie dla siebie wywalczył stanowisko, a dla społeczeństwa tak doniosłe osiągnął rezultaty — i kobiety niejedną znakomitą wykazać mogą reprezentantkę, iż obok nazw mężów, które wieki nasze z uwielbieniem wyliczają i z wdzięcznością wspominają, również i zasłużone, dobrze brzmiące imiona kobiet, w dziejach ogólnej świata cywilizacji uczczenie swe znalazły? Kto zaprzeczy sławy Safonie, kto talentu «białej róży z Gaudersheim,» pięknej zakonnicy Roswithy, opiewającej czyny bohaterskie Ottona I i katusze Dantejskiego piekła i męczenników wiary nieludzkie cierpienia? Czyli nad poetyczną działalnością i natchnieniem dziewiczych myśli współczesnych rodzajowi męzkiemu towarzyszek, możemy przejść do porządku dziennego — jeżeli nie chcemy być jednostronnymi w ocenieniu kobiecego stanowiska i jej intelligencji? Pokrewna siostra poezji, sztuka malarstwa, niemniej intenzywnie i skutecznie pielęgnowaną bywa przez płeć piękną. Liczebne dowody nazwisk są tu zbyteczne, również jak zbytecznem by było, gdybyśmy karty „dziejów świata i jego kultury wstecz przerzucając, wywołać usiłowali świadków z tej zamierzchłej przeszłości, celem umotywowania pewników, iż kobiety od primitywnych czasów dziejowej kultury, jako i po dziś dzień gorące w swej duszy, pieszczą zamiłowanie i chętnie berłem władać pragną, a w rzeczywistości poniekąd i składniej i umiejętniej od niejednego mężczyzny władają.

Liczebną mniejszość w reprezentacji kobiecej spostrzegamy, kiedy przejdziemy na pole umiejętności ścisłych i dopiero obecne chwile wykazują z chlubą dla niewieściego rodu pojedyncze postacie, których rozgłos uczoności z owego niezwykłego przywileju, wyłącznie dotąd męczyznom przysługującego, również szczęśliwie i ze skutkiem korzystać umie. Już od najdawniejszych czasów wspominają kroniki skrzętnych zapisywaczy o wysoko uczonych indywiduach kobiecych, o księżniczkach, z których różowych usteczek łacina i greczyzna w potoczystych wytryskały strumieniach, o filozofkach łamiących sobie wątłe główki nad ciężkiemi myślenia zagadnieniami i o innych uczonych z rodzaju słabego — lecz one wszystkie posiadały ogólną tylko swego czasu kulturę i były niejako odbiciem wieku i jego potrzeb, w którym żyły. Specjalne studja poszczególnionych działów umiejętniczych z zamiarem praktycznego zastosowania rozległych wiadomości, bądź usiłowania umiejętności same zarówno mężczyznom naprzód posunąć — są to szczęśliwe pragnienia emancypantek pojedyńczych dopiero dzisiejszej doby. Tak więc przyszło składnie do tego, iż delikatne kobiece rączki pulsa nasze badają, iż miłe kobiece ucho bicia naszego serca odgaduje, że jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu i możemy słyszeć naukę naszych filozofów od uczonych mimo to pięknych pań wygłaszaną, a w nowym świecie doszło do tego, iż obronę naszego sumienia, względnie naszych uczynków grzesznych, bądź sprawiedliwych, poruczamy opiece mecenasek młodocianych, przemawiających natchnionemi słowy w sprawie naszych przewinień. Nawet sławna St. Germain, która miłość swą bezuczuciowemi formułkami analityki i nieopoetycznemi figurami geometrycznemi przytłumiła, stoi dziś jako kobieta, nieodosobniona na polu rozległej i urodzajnej matematyki. Wyłącznie na polu ścisłych nauk panuje dziś wszechwładnie mężczyzna, na polu techniki wogóle. Historja technicznych utworów nie zna na tem polu imion kobiecych; wprawdzie wspomina o niemieckiej budowniczyni hrabini Truchsess, małżonce Filipa z Chieze, mógłby więc i ten specyficzny wypadek posłużyć nam za skalę, iż kobiet od udziału w umiejętnościach technicznych odsądzać nie należy. Wspomniany Filip, kwatermistrz kurfürsta Fryderyka Wilhelma z Brandeburgji, był człowiekiem na swój wiek niepomiernej zdolności inwencyjnej, rzutny i przedsiębiorczy, wynalazł w XVII wieku eleganckie powozy i założył, raczej rozpoczął budowę kanału łączącego Deimę z Gilgą. Wśród rozpoczętego dzieła nieznanej przedtem komunikacyjnej budowy wodnej umarł; energiczna wdowa prowadzi dzieło dalej, sprowadza architektów i robotników, zaprowadza karność, kieruje osobiście budową, wytycza linije, bada plany i rozpoczęte przez męża dzieło w r. 1697 ukończa. Zdolności technicznych zaprzeczać jej trudno, a obok tego umie ona i wyśmienicie rządzić i panować w zakresie jej właściwej kobiecej władzy.

U starożytnych Egipcjan, Indów i Chińczyków, w Grecji, w kraju mitów, w starożytnej Romie, w której królewne nie panowały, widzimy kobietę czynną, która załatwiała wszystko, co jej potrzebnem było do ubrania, do ozdoby komnat i do upiększenia życia, własnemi rękoma. Mojżesz roztropnym kobietom oddaje przynależne pochwały, które pracą rąk własnych «co utkały z żółtego, czerwonego i białego jedwabiu» do ozdoby arki

przymierza ofiarowały. Hiob wspomina o tkackiej pracy kobiet, również Homer o służebnych w pałacu króla Phäaka, iż tkały szaty pilnie i obracały wrzeciono siedząc przy pracy, jak liście osik powiewnych, które chrobotaniem koła młyńskiego mielą żółte zboża» i opisuje nam bogate, przepyszne makaty ręką kobiecą utkane.

Tej sztuki, raczej zręczności początek nie jest znany, nie wiemy również kto pierwszy podał myśl wełnę zwierząt przerabiać na przędzę, nią tkać i wiązać. Może to były i kobiety? Jest bowiem podanie, iż Nacma, siostra pierwszego robotnika kopalń kruszcowych Thubalkuina, przędzenie wynalazła. Nie należy więc i w tym dziale technicznych pomysłów przypisywać chwały wyłącznie mężczyznom. To jedno jest pewnem, czego i fakta dowodzą, iż jak długo przędzenie i tkanie udziałem pracy kobiet były, tak długo przemysł i rękodzielnictwo mniej więcej w ich rękach spoczywały i one to były motorami ruchu na polu przemysłu i handlu. Te czynności nie przekraczają primitywnych granic udoskonalenia, pozostają na stopniu, w jakim powstały i dochodzą najwyżej do sztukmistrzostwa. Kobieta spokojnie pracuje dalej tak dziś jako i wczoraj, lekceważy sobie trud ciężkiej pracy i znosi cierpliwie los, który się jej dostał w udziale. Mężczyzna stara sobie w pracy ulgę sprawić, przyspieszyć nużącą jednostajność czynności, wydoskonala sobie narzędzia robocze— kobieta jest konserwatystką najczystszej wody, mężczyzna postępowcem. Może to i na nas mężczyznach cięży wina, iż na polu mechaniki, na polu wynalazków kobieta nie stała się udzielną współzawodniczką z mężczyzną? Możeby z głowy kobiecej wyskoczyła maszyna parowa w podobnej doskonałości, jaką Watt nam skonstruował, możeby taka Lady Stephenson lokomotywę wynalazła, możeby inżynierka jaka rozwiązała to lub owo zagadnienie — gdybyśmy techniczne nauki za wyłączną od mężczyzn uprzywilejowaną umiętność nie uważali, jeżlibyśmy umysł kobiecy od pierwszych początków technicznie kształcili, jako u mężczyzn, aby i one siły natury z równą gruntownością i ścisłością przedmiotowo badać mogły i umiały? O ile jesteśmy grzecznymi i uprzedzającymi dla kobiet, chętnie byśmy się do winy przyznali, gdyby to z historją i z naszem sumieniem pogodzić można. Lecz z mnichem z Wittenbergu musimy powiedzieć: «Tu ja stoję — inaczej nie mogę.» Ta wina, o której mowa, to zaniedbanie uzdolnienia kobiecego na polu technicznem znajduje swe usprawiedliwienie w przyrodzonych u kobiet skłonnościach, iż kobieta mniej zdecydowana od mężczyzny, z braku śmiałości, raczej odwagi, ku abstrakcyjnym pojęciom, jak i spekulatywnym dociekaniom niechętne zwraca oko. Przy drażliwości temperamentu kobieta rzadko zagłębia się w raz uchwyconym przedmiocie, brak jej najczęściej samodzielności i w tworzeniu i w przeobrażeniu już żyjących norm życiowych. Dla tej przyczyny nie należy je odsądzać od wpływu na rozwój nauk technicznych, względnie mechaniki. Jeźli nie pośrednio przez indywidualną twórczość, to bezpośrednio przez wpływ i zachętę produktywnej męża czynności, kobieta po wszystkie czasy wynalazki techniczne, a przez nie i umiejętność mechaniki do życia i do zwrotu pobudzała. Kto wie, może w tym względzie udział kobiet większym jest, jakby sądzić można. Wiele to genjalnych konstrukcyj, wiele zmyślnych kombinacyj, wiele ulepszeń i wynalazków zdobią nasze życie, a twórców ich nie znamy?

Próżność kobiet spowodowała udoskonalenie źwierciadła, może i męża zniewoliła, iż kamień gładko szlifował i metale polerował. Córy Izraela podziwiały swoje kształty i urodę w źwierciedle metalowem, piękna Greczynka i strojna Rzymianka używały srebra dla twardości i większej białości za źwierciadło. Gdyby już tak wcześnie kobiety źwierciadeł nie były używały, możeby dotąd nie osiągnęłyby się udoskonalenia, jakie źwierciadła znalazły w zastosowaniu medycyny, astronomji, i geodozji. Chciwość kobiet w strojeniu się barwnemi wstążkami, stworzyła sztukę wyrabiania delikatnych jedwabnych materyj i dziś niejednego może mężczyznę ta chęć kobiecego podobania się prowadzi do wynalazku. Jak w poezji tak i w mechanice miłość niepoślednią odgrywa rolę, nie tak wymowną wprawdzie, gdyż maszyna, ktora na skinienie mistrza posłusznie się porusza i pracuje, nie opowie o sprawach sercowych wynalazcy. Historja o biednym proboszczu z Calvertonu przy Nottingham, Lee imieniem, przemawia wymownie za tem, że niejeden tworząc i układając plany sztucznych kombinacyj celem wydoskonalenia narzędzi do pracy, myślał o swojej ukochanej i ona mu była bodźcem do inwencji dobroczynnego wynalazku. Lee żył pod koniec 16 wieku, obarczony liczną familją, wiódł życie jak po grudach, dzieci dużo, chleba mało. Żona pracowała ciężko i kiedy kur po północy po raz pierwszy zapiał, ona schylona przy pracy siedziała nad drutową robotą. Proboszcz z miłości dla żony przemyśliwać począł nad konstrukcją maszyny, któraby ręce jego żony zastąpiła; po 3ch latach mozolnych kombinacyj, bezsenne noce uwieńczone zostały skutkiem pomyślnym, wynalazł maszynę z 200 składowych części złożoną, która ruch rąk przy robotach drutowych zastąpić miała. Historja opowiada i warjanty o tym wypadku technicznym, iż Lee, jako kandydat teologiczny zakochał się był w szwaczce, która pilnie szyjąc na elewa kapłańskiego i spojrzeć czasu nie miała, i to go do wynalazku odpowiedniej maszyny zniewoliło.

Wittenberski młynarczyk z miłości dla matki wynalazł podwójny kołowrotek w Niemczech. Są ślady w historji dokonanych pomysłów w sztuce tkackiej pod inspicjami kobiecych ócz. Golarz Arkwight w Nottingham był istnym Sokratesem. Angielska Xantyppa łajała męża, który trawił czas nad wynalezieniem przyrządu tkackiego. Zwątpił już był biedaczysko i zniechęcony potwornem żony postępowaniem wrócić zamyślał nazad do mydła i brzytwy, dopiero w roku 1769 praca jego wydała światu przyrząd, który dziś króluje w świecie przemysłowym. I jeźli po dziś dzień kobieta na polu technicznych umiejętności w równej z mężczyzną nie postępuje mierze, to jej konserwatywny zmysł, iż za mało uwagi poświęca naukom przyrodniczym w ogóle, technicznym w szczególe, dokonał tej lichej reprezentacji w dziedzinie mechaniki. Nie diferencjałki i integrałki winne na dziewiczych ciążyć skroniach, nie maszyny i motory z ich delikatnych rąk wychodzić — tego rodzaju nauka jest udziałem mężczyzn, lecz w tajemnicach mechaniki winna kobieta względną przynajmniej okazać chęć poznania takowych i wpływem swoim jak i zainteresowaniem się tą sprawą sięgnąć wraz z mężczyzną po laury, któremi się ludzkość zdobi. O ile jednak wszelkiego rodzaju pomysły na polu fizyki w rozumne powierzone ręce nieobliczony plon wydają, o tyle stają się klęską skoro przejdą w ręce nieobytych w świecie z nauką mechaniki profanów.

R. O.

ZEMSTA AKTORA.

FRASZKA L. STROUPEŻNICKY'EGO,

spolszczył z czeskiego **A. Zezoni--Kleczkowski.**

Ci panowie z teatru, na punkcie wielu kwestji tak zwanych sercowych, lub tym podobnych, zupełnie bywają wolnomyślni; nieporozumienia tego rodzaju, zwykle bardzo chętnie wybaczają i zapominają; trafi się przecież i między nimi jakis, przywiązujący do tych rzeczy wielką wagę i umiejący mścić się za nie.

Do takich właśnie należał stary Pieńkawa, reżyser i najstarszy aktor jednej czeskiej truppy wędrownej. Ożenił się on, blizkim już będąc pięćdziesiątki; za żonę pojął młodą i przystojną aktoreczkę, troszkę nawet i śpiewaczkę. Twarz jej zarówno jak głosik odznaczały się naturalną i bardzo miłą koloraturą.

Niejaki czas żyli bardzo zgodnie, nie mając sobie nic do wyrzucenia; ale cóż, nietylko czasy lecz i damy z teatru się zmieniają.

Przyszły na repertuar francuskie sztuki, w których dosyć często spostrzegać się daje owe moralne błotko, co to w wyższym stylu nazywa się «bon ton;» a które prostaczkowie po prostu niewiernością małżeńską nazywają.

W takich to sztukach pani reżyserowa grywała zwykle ową istotę, mężowi swemu niezupełnie dotrzymującą ślubowanych zobowiązań, słowem grywała niewierną żonę.

Traktując swój zawód na serjo, wżyła się w swoje role tak szczerze i głęboko, że z nich wybrnąć nie była w stanie; a z tego wynikło, że grywała długo jeszcze po zapadnięciu kurtyny, już nie dla publiczności i nie dla kulisów rozumie się, lecz dla samej siebie.

Upodobała sobie także pewnego młodego aktora, pierwszego amanta truppy, — i w tem nie było nic dziwnego: grywała z nim stale pierwsze amantki, mieli więc niejako powinność kochać się wzajemnie. Powinności tej dla obojga bardzo miłej, znów z zamiłowania dla zawodu nie mogli się sprzeniewierzać.

Stary mąż reżyser, stojąc pewnego razu za marmurowym posągiem płóciennego Herkulesa, mającego nawiasem mówiąc, od sześciu lat poobrywane palce i liście, dostrzegł z tego ukrycia niejakie chmury na swem małżeńskiem niebie.

Dziwił się temu niezmiernie, jego żona niedawno wzgardziła uczuciem rzeczywistego barona! Teraz kokietuje aktora, o zgrozo! W sercu starego reżysera rozbudziła się chęć zemsty, a ponieważ grywał zawsze intrygantów, mścicieli, czarne charaktery i ministrów sprawiedliwości, wynalazł natychmiast plan pognębienia współzawodnika.

W tym właśnie czasie miał wystawić tragedję, pod tytułem. «Złamane berło.» Sam grał w tej sztuce ministra, jego żona królowę, a pierwszy amant rycerza, podnoszącego bunt przeciw królowej.

Bunt z pomocą całego personalu teatralnego, lampiarzy, maszynistów, krawców i kilku dobranych z ulicy murarzy szczęśliwie zostaje przytłumiony; rycerza za kulisami złapanego przyprowadzają na scenę. Klęczącego przed nią upokorzonego rewolucjonistę, królowa uderza berłem, berło się łamie!... Uderzony rycerz chwyta obie połowy berła i krzyczy, że w ten sposób królestwo jej rozłamie. Groźba głupstwo, ale zły pragnostyk.... Królowa się tego bardzo obawia, daje więc berło do naprawy i na tem koniec...

Taką była treść tej interesującej tragedji.

Na pierwszem przedstawieniu teatr był pełny. Nadeszła chwila, w której rycerz rewolucjonista klęka przed królową otoczony bezmyślnym, lecz przywiązanym do tronu tłumem lampiarzy, krawców i murarzy, którzy go pokonali.

Pani reżyserowa grająca królowę, majestatycznie, prawdziwie po królewsku gniewa się i uderza berłem swojego amanta, w tym czasie rewolucjonistę. Lecz cóż się dzieje! Jakkolwiek rekwizytor urządził berło tak, że przy najsłabszem uderzeniu powinno pęknąć, — dotąd jest całe.

Królowa uderza rewolucjonistę drugi raz z podwójną siłą, lecz berło wcale nie pęka...

Na twarzach aktorów maluje się pomięszanie.

Rewolucjonista drży, ze strachu zapewne; biedna królowa uderza go po raz trzeci z całą siłą. Przy uderzeniu tem serce jej pęka z żalu, lecz nieszczęsne berło nie pęka ani teraz, ani przy następnym razie,

Publiczność tymczasem nabiera dobrego humoru.

A przecież berło pęknąć musi; od tego zawisł dalszy ciąg i koniec sztuki. Królowa wie o tem dobrze, aby więc położyć koniec śmiechowi publiczności, z furją uderza rycerza po raz piąty, szósty i tak dalej bije bez litości, aż wreszcie berło z trzaskiem na ramieniu swego amanta, teraz nieszczęśliwego rewolucjonisty złamała.

Biedny rycerz zapewne z przejęcia się rolą posiniał cały na twarzy, trząsł się jak w febrze i błędnym spoglądał wzrokiem. Minister zaś, stary intrygant i czarny charakter, stojąc przy tronie królowej z djabelskim uśmiechem deklamował:

«Tak miłościwa pani, taką powinna być nagroda dla owych podstępnych zdrajców, co dłoń swoją śmią wyciągać po cudzą świętą własność, podnosić przeciw najświętszym obowiązkom.... poddanych względem monarchów. Tak Bóg chciał!»

Biednemu zaś rycerzowi deklamował: «To słuszna nagroda za twoje niecne czyny!»

Zdaje się, że biedny rycerz czuł słuszność słów starego intryganta, wydawał się bardzo skruszonym; a i królowa rozumiała ukryte intencje deklamacji swojego ministra. Jak tylko berło pękło, sztuka dążyła ku końcowi właściwym już trybem. Natychmiast po przedstawieniu, pobity amant rewolucjonista znikł jak kamfora, nie czekając na powinszowania kolegów, z któremi go oczekiwali za tak wielkie przejęcie się rolą; inni mówili, że nie życzył sobie bliższego wyjaśnienia ze strony starego intryganta.

Swojej królowej rzekł minister jeszcze: «dobrze go wynagrodziłaś miłościwa pani! — ten dryblas zasłużył na to!»

Królowa przyjęła te uwagi wymownem milczeniem. Dowiedziała się także, że o porządne dębowe berło, postarał się sam jej małżonek reżyser; poznała zemstę starego intryganta, grywającego ministrów sprawiedliwości. O ci starzy mężowie! Czy poprawiła się? A jakże, nigdy odtąd nie polubiła żadnego aktora, przeciwnie, upodobała sobie wzgardzonego niegdyś bogatego rzeczywistego barona. Kiedy mówiono o tem staremu intrygantowi, który w tych czasach ministrów finansów grywał, odrzekł tylko: «Jako mąż powiem wam, że co baron, to nie komedjant...» Nie da się zaprzeczyć, że miał kwalifikacje na męża stanu.

Autor Swady Danejkowicz.

Z niedrukowanych prac Juljana Bartoszewicza.

Uczony Józef Łukaszewicz pomiędzy innemi zarzutami, które czyni naszej książce o dziejach literatury polskiej, zgorszony był niepomału, żem Danejkowicza, sławnego autora Swady, nazwał Sapiehą.

«Dowiadujemy się od p. B. ubolewa, że Swadę Danejkowicza miał wydać pod nazwiskiem Danejkowicza, Jan Fryderyk Sapieha, zmarły 1752. Jan Fryderyk Sapieha, dowodzi dalej Łukaszewicz, syn Kazimierza, wojewody trockiego i Franciszki Kopciównej, urodził się podług własnego zeznania w Misztolta historji domu Sapiehów 1680 roku dnia 18 października. Swada Danejkowicza wyszła z druku 1684 r. W 4tym roku życia, żartuje Łukaszewicz, nie mógł zapewne Sapieha myśleć o wydawaniu Swady.» Przytem wyrzut i zarzut, że Sapiehę tego robimy uczonym człowiekiem «ale historja jego orderu Białego Orła i historja obrazu Kodeńskiego, powiada, wydana pod obcem nazwiskiem, nie okazują wielkiej jego nauki.» (Bibl. warsz. 1861, sierp. str. 418—419).

Dawne to już dzieje, więc nie odpowiadać uczonemu Łukaszewiczowi, bo wówczas bym to zrobił, gdybym chciał, ale sam fakt pragnę wyjaśnić. Fakt to zresztą nieobojętny dla dziejów literatury naszej.

Polemika swarzy się, badanie zaś sumienne ułatwia pracę wielką, jaką wznosić mamy około gromadzenia szczątków naszej przeszłości literackiej, która w wielu, bardzo wielu punktach jest ciemna, nierozjaśniona.

Bentkowski przywodzi tytuł owej Swady, o której wspomina Łukaszewicz (Historja lit. pol. I. str. 664). Jest następujący:

«Swada polska i łacińska albo Miscellanea oratorskie, sejmowe, weselne, kancelaryjne, listowne, kaznodziejskie, pogrzebowe, statystyczne, panegiryczne, elogiarne, inskrypcyjne i inne różne

w oboju języku prozą i wierszem przez Jana Ostrowskiego Danejkowicza J. K. Mci sekretarza zebrane, na dwa tomy, t. j. polski i łaciński podzielone. W Kaliszu 1684.»

Dodaje Bentkowski, że dzieło to przedrukowane było w Lublinie u Jezuitów w r. 1745 i że każdy tom przeszło po 10 alfabetów zawierał. Tych alfabetów, przyznajemy się, że nie rozumiemy, co mają znaczyć. Następuje za tem ogólnikowe zdanie Bentkowskiego, że mnóstwo w zbiorze tym mów napuszonych i szumnych. Jednakże «znajdują się niektóre (uwaga Bentkowskiego) co i z myśli i z wysłowienia na zaletę zasługują, lecz jak rzadko się na te natrafia» — dodaje historyk literatury.

Nie znamy wydania Swady z roku 1684, ale znamy wydanie jej drugie z roku 1745. Mimochodem powiemy, że w tytule, jaki podał Bentkowski jest zmyłka zapewne druku; powinno być nie «Miscellanea braterskie» ale «oratorskie,» co widać z wiernie powtórzonego tytułu drugiego wydania. Wydanie to drugie ma tytuł nieco rozciąglejszy... «Miscellanea: na dwa tomy, to jest polski i łaciński podzielone, a dla pożytku i pochopu w każdej materji audytorów elokwencji do druku podane.

Między rokiem 1684 a 1745 upłynęło lat 61. Czy mógł Danejkowicz Ostrowski wydawać dzieło swoje i w r. 1684 i 1745? Przypuściwszy, że w pierwszej dobie miał tylko lat trzydzieści, a niewiele przypuszczamy, kiedy już miał być wtedy i sekretarzem królewskim, musimy też przypuścić, że w r. 1745 miał lat 91. Wątpić należy, czy w takim wieku mógłby się kto brać do literatury. Bo że nie jest drugie wydanie prostym przedrukiem pierwszego, że Ostrowski Danejkowicz sam się zajmował wydaniem drugiem, na to w Swadzie, co karta prawie, a raczej co dedykacja dowód. Swada podzielona jest na części, każda część dedykowana osobno zawsze któremuś z Sapiehów, każda dedykacja podpisana przez Danejkowicza Ostrowskiego. Co więcej w aprobacie druku, którą podpisał słynny pod owe czasy prałat Jan Alex. Trembiński archidyakon lubelski potem biskup, z rozkazu kardynała X. Jana Lipskiego, mamy świadectwo wyraźne, że żył w roku 1745 Danejkowicz i był pod owe czasy w ziemstwie skarbnikiem pińskim. «Opera magnifici et generosi domini Thesauratii pinscensis.» A nie pisze się tak o człowieku zmarłym. Na żadnej dedykacji nie podpisał się Danejkowicz skarbnikiem pińskim, tylko zawsze sekretarzem J. K. Mci. Bez aprobaty druku nie wiedzielibyśmy nawet wcale o jego dostojności ziemskiej. Bądź co bądź, był to jakiś domownik rodziny Sapiehów, jej oddawna zasłużony, najwięcej zaś zbliżony do uczonego kanclerza. Przez pochlebstwo dla niego, każdą Swadę oddzielnie dedykował, jak to już powiedzieliśmy, innemu Sapieże. Rodzina ta podówczas była niezmiernie liczną, o żadnym nie zapomniał Danejkowicz. Wszyscy ci Sapiehowie są spółcześni kanclerzowi, żyli w połowie panowania Augusta IIIgo. Pierwsza dedykacja jest Józefowi biskupowi dyocezaryjskiemu, druga Piotrowi wojewodzie smoleńskiemu, trzecia Jerzemu wojewodzie mścisławskiemu itd. Wszystkie poszlaki mówią więc za tem, że Swada z r. 1745 jest osobnem dziełem, nie przedrukiem.

Na tytule wydania z r. 1745 niema wzmianki, że to przedruk albo nowe wydanie.

Treść Swady nowym tego dowodem. Wśród wielkiej ilości listów, mów, kazań, rzadko który pomnik literacki przechodzi głębiej po za rok 1684. Wszystkie są poźniejsze. Na wielu z nich znajduje się data, na tych zaś pomnikach, co są bez daty, nikt oszukać się nie może, kto ma chociaż cokolwiek nauki historycznej. Najwięcej pomników z epoki Augusta II. Oczywiście nie mógł Danejkowicz w r. 1684 zbierać pomników wymowy z czasu tak poźnego.

Łukaszewicz żartując pisał: «w czwartym roku życia nie mógł zapewne Sapieha myśleć o wydawaniu Swad.» Zapewne domysł trafny, ktoby się na niego nie zgodził? Lecz odrzucając zarzut, spytamy się jak mógł Danejkowicz w r. 1684 drukować to, co było powiedzianem np. w r. 1700—1745? Pisał-że po śmierci? Zacny historyk zamiast żartować, powinien był uważać, że tutaj jest jakieś nieporozumienie, że dwóch nas dlatego się nie rozumiało, bo każdy mówił o czemś innem. Dla żartu nie było tutaj miejsca, ale dla wyjaśnień.

Zkąd nam się to wzięło, żeśmy Swadę, która w każdym razie pomnikowem jest dziełem, bogatym materjałem, zkąd się wzięło, żeśmy ją uważali za dzieło kanclerza Sapiehy? tego już nie możemy objaśnić. To pewno, że dawno przed wydaniem naszej książki o literaturze, mieliśmy to przekonanie. Czytaliśmy o tem gdzieś i fakt zapamiętaliśmy,, bo interesujący. Nie przyszło nam nigdy na myśl, żeby uczeni badacze literatury faktu tego nie znali; sądziliśmy owszem, że to prawda powszechnie znajoma, że to pewnik literacki. Zresztą w książce naszej wyrażaliśmy się oględnie, stanowczo nie wyrokując. «Zbiór ten miał zgromadzić i wydać, pisaliśmy, pod imieniem jednego z sekretarzy swoich Jan Fryderyk Sapieha, z kasztelana trockiego kanclerz litewski, jeden z najuczeńszych panów za czasów saskich, zmarły w r. 1752.» (Hist. lit. pol. str. 369). «Miał zgromadzić, miał wydać,» nie są to zaiste wyrażenia tejże doniosłości i wagi, co «zgromadził i wydał.»

Kanclerz należał do bardzo wziętych w swoim czasie pisarzy, do uczonych, chociaż Łukaszewicz prawa do nauki mu odmawia, mierząc stosunki dawne według nowej stopy.

Krytyki w owym czasie niewiele było, za czem wcale nie idzie, żeby ludzie nie mieli nauki. Kanclerzowi powagą, dostojnością, wymową, nauką nikt nie sprostał, nawet Józef Jędrzej Załuski x. referendarz koronny. Miał bibliotekę w Kodniu, zajmował się z całą serdecznością literaturą. Mogłby ktoś powiedzieć, że wymowa jego nie jest wymową, ale makaroniczną kleconką. Któż wtedy nie makaronizował? Zresztą jeżeli odmówić kanclerzowi nauki za to, że pisał o cudownym obrazie kodeńskim, potrzeba jej odmówić i Okolskiemu, który pisał o cudownym obrazie podkamieńskim. O kanclerzu pisaliśmy niegdyś obszernie w Tygodniku Illustrowanym. Pod wszelkim względem znakomita ta postać zasługiwała na szczere się nią zajęcie. I jako Sapieha i jako kanclerz i jako literat głośny i jako uczony, jako mąż wpływowy, w czasach zepsucia nieskazitelny, wielkich cnót domowych, jest z bardzo wielu względów postacią historyczną. Nikt nie może minąć go w obrazie dziejów Rzplitej za czasów saskich. Musieliśmy jednak całe ustępy pracy naszej usuwać dla Tygodnika; z wielką boleścią, przyznamy się, to zrobiliśmy.

Dzieje kanclerza osobiste należą nietylko do polityki, ale i do literatury, bo nie wiemy nawet naprawdę czem był więcej, kanclerzem czy autorem. Sprawa Swady zasługuje dlatego na uwagę. Czyje to dzieło więc, Sapiehy czy Danejkowicza?

Zobaczmy dowody. Mamy nawet spółczesne.

Oto Niesiecki wspominając w «Koronie polskiej» o Janie Fryd. Sapieże, wylicza jego dzieła, które wydał i dodaje wiadomość o tem, które wyjść ma a już się znajduje pod prassą: «teraz zaś Mowy różne w Lublinie pod prassę drukarską weszły.» Mowa tu oczywiście o Swadzie. Tom czwarty Korony, w którym jest rzecz o Sapiehach, drukował się prawie jednocześnie ze Swadą, wiedział o tem Niesiecki. Dzieła jeszcze nie widział, ale już wzmiankę o niem notował w Koronie; nic dziwnego, zawiadamiał o rzeczy, która całą literaturę zajmowała. Wzmianka Niesieckiego była jakby nowinką literacką chwili, za pośrednictwem poważnego dzieła rozszerzała się w Polsce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

PRZEGLĄD WYSTAWY TOW. SZTUK PIĘKNYCH.

Kochanowski: Z za Wisły. Pan Kochanowski odczuwa tak naturę, jak może żaden z naszych pejzażystów, co połączone z wyborną techniką, nadaje wszystkim jego pracom piętno wysokiego talentu. Jeżeli jego „cztery pory roku“ przedstawione w podłużnych krajobrazach, mimo rzeczywistej wartości, raziły nas nieco uganianiem się za efektom i dekoracyjnością, to obecnie znajdujący się na wystawie pejzaż „Z za Wisły,“ wolnym jest całkiem od tego zarzutu. Pan Kochanowski nie wybiera pejzaży, nie stwarza ich w fantazji, ale bierze takie jakie są, proste, naturalne, nieimponująca wspaniałością, a mimo to, a może właśnie dlatego, takie świeże, takie miłe, takie żywcem swojskie i pełne poetycznego uroku, że po jego wierzbach i wydmach piaszczystych, po jego kamienistych strumieniach i błotnistych brzegach, nie chce się patrzeć na góry, wodospady, wymusztrowane szeregi dębów lub efektowne wnętrza lasów. Pana Kochanowskiego czeka świetna przyszłość, jego koloryt, technika, znakomita perspektywa, umiejętność grupowania, realizm pojęty szlachetnie, przy ciągłej pracy, a więc i nieustannym postępie prowadzą go prostą drogą do mistrzowstwa.

Wojciech Kossak: Bitwa pod Raszynem. Scena przedstawia chwilę, w której niosą żołnierze rannego Godebskiego, a porucznik Dobiecki pada ugodzony kulą śmiertelną. Jestto jeden z najlepszych obrazów tego artysty. Jest ruch na płótnie i wyborna charakterystyka postaci. Twarze, zwłaszcza Godebskiego, starannie wymodelowane i pełne wyrazu. Ubiory wystudjowane, przejęcie się epoką wysokie — widać w tem wpływ ojca artysty. Obraz ten pana W. Kossaka powinien być zwrotem w jego twórczości. Dotąd cenil śmy jego technikę, umiejętność chwytania ruchów, doskonałą często charakterystyką, ale pracom jego brak było głębszej myśli, były to zręczne i artystyczne fotografje à la minute manewrów wojskowych i nic więcej. Ułan austrjacki siedzący na koniu, stojący przy nim, siadający na konia, pędzący kłusem lub zwolna truchtem — nie przedstawia jeszcze tyle materjału, aby uwiecznieniu jego na płótnie poświęcać swoją pracę i zdolności. Malarz batalijny ma szerokie pole przed sobą, przeszłość nasza dostarczy mu sporo materjału. Nie potrzebuje cofać się w dawne wieki, jeżeli te go nie nęcą, może czerpać, bez obawy wyschnięcia źródła, z czasów legionów, księstwa warszawskiego, powstania listopadowego lub wreszcie r. 1863. Wracając się do najnowszego obrazu p. W. Kossaka zwrócić jeszcze musimy uwagę na poprawny rysunek, przyjemny koloryt i dobre naszkicowanie pejzażu.

Kozakiewicz: Nowa Telimena. Na skraju lasu przy drodze zbliża się do siedzącego z grzybami wiejskiego dziecka różowo ubrana panna, która miała niegdyś lat szesnaście. Niby patrzy na grzyby, a rzuca z pod oka tęschne i wiele mówiące spojrzenie na przechodzącego opodal myśliwego. W głębi lasu widać kilka dziewcząt zajętych grzybobraniem. Praca to nie bez wartości, ale jak na p. Kozakiewicza bardzo słaba. Od tak utalentowanego artysty nie przyjmuje się zdawkowej monety. Figury niezbyt szczęśliwie narysowane, z wyjątkiem drugoplanowych. Treść nie wywołuje na usta uśmiechu, a przecież taki był zamiar artysty. Drzewa jakieś ciężkie, różowy kolor na tle zieloności źle się odbija. Nawet perspektywa nieco razi. Widocznie artysta malował też obraz „na urząd„ i pozbył się go czemprędzej z pracowni. Kozakiewicz zbyt wysoko stoi, aby uznaniu, jakiem się cieszy, ta praca jego mogła zaszkodzić, ale w każdym razie byłoby lepiej, aby jej na wystawie nie oglądano.

Grocholski: Zamurowanie zakonnicy. Na barłogu klęczy z oczyma wzniesionemi do nieba młoda i piękna zakonnica. Widocznie mocno zgrzeszyła, prawdopodobnie zakazanym stosunkiem ze światem, kiedy nielitościwy wyrok zamurowania wypadł z ust jej towarzyszek. Widać je na drugim planie wchodzące po schodach i oglądające się z ciekawością. Stary murarz kończy swoją pracę — za chwilę zalegnie grobowa cisza i światła dnia nie ujrzą już oczy nieszczęśliwej. Nie powiemy, aby temat taki robił przyjemne wrażenie: w tego rodzaju okropnościach lubują się zazwyczaj młodzi artyści, ale stan to chorobliwej fantazji, z której prędko zwykli się leczyć. Obraz odznacza się miłym tonem, twarz zamurowanej pełna jest boleści, a zarazem wysokiej rezygnacji. Ciemny koloryt odpowiada tematowi, szczegóły traktowane poważnie i umiejętnie. Perspektywa tylko wydaje nam się słabą, a twarz murarza zbyt obojętną. Artysta nie zdołał wydobyć całej zgrozy faktu, kompozycja jego nie sprawia przygnębiającego wrażenia, zakrawa więcej miły na obrazek rodzajowy....

Daczyński. Powrót Kozaków. Słońce już zaszło, żółte jego blaski oświecają niebo i nadają szczególną wyrazistość przedmiotom. Kozacy po szerokim stepie ciągną z obłowu. Na przedzie jedzie dwóch starszych: pewnie ataman i koszowy. Za nimi ciągną szeregiem wózki i konni towarzysze wyprawy. Rzecz traktowana szkicowo i to z prawdziwym talentem. Wyborna perspektywa, dużo powietrza, czuć spokój w całej przyrodzie i między ludźmi. Wszystko występuje w sylwetach, bardzo zgrabnie naszkicowanych.

H. Lipiński: Na przedmieściu. Na tle drzew misternie ugrupowanych widać staw, na którym na pierwszym planie znajduje się łódź rybacka. Rybak właśnie podnosi więcierz, w której rzucają się złowione rybki. Obrazek to miły, przyjemny w kolorycie i wykończony z właściwą artyście starannością.

Abramowicz. Główka kobiety z rozpuszczonemi włosami. Pana Abramowicza wiele już podobnych główek widzieliśmy, ale tę zaliczamy do najlepszych. Ładna twarzyczka łączy się harmonijnie z białością i świeżością gorsu. Wykonanie drobiazgowe, bardzo pracowite. *c. d. n.*

Ruch muzyczny.

Operetka lwowska.

Po długim przeciągu czasu, ujrzeliśmy znów na naszej scenie miłych lwowskich gości. Witamy też ich z serca, życząc by co rok nas odwiedzali, uprzyjemniając tym sposobem sezon martwy osobom, których obowiazki zatrzymują w mieście.

Pod nową dyrekcyą p. Jana Dobrzańskiego, przyjechało Towarzystwo około 80 osób liczące, z własną teatralną orkiestrą, Publiczność nasza zapełnia szczelnie teatr i bije brawo co sił starczy, dając przez to najoczywistszy dowód, iż opera i operetka ma nietylko u nas rację bytu, ale jest z niecierpliwością co rok oczekiwaną.

Przedstawienia rozpoczęły się we wtorek dnia 10 lipca. znaną operetką Straussa p. t. „Wesoła wojna“ (der lustige Krieg). Następnie wykonano dnia 11-go „Bocaccia“ Souppe'go, 12-go „Donnę Juanitę“ tegoż kompozytora, w sobotę 14-go „Chusteczkę królowej“ J. Straussa i w niedzielę d. 15-go i 18-go miluchne „Dzwony kornewilskie“ z muzyką francuzkiego kompozytora Planquetta.

Z powodu dłuższej słabości p. Skalskiej usłyszeliśmy z nowości dotąd jedynie „Karnawał w Rzymie“ z muzyką Straussa odegrany dwa razy w dniach 19 i 22 lipca Powtórzono zaś: „Fatynicę“ Donnę Juanittę“ „Boccacia“ i „Chusteczkę królowej.“ Ponieważ już w roku zeszłym w „Przeglądzie o powyżej wymienionych operetkach sprawozdanie podaliśmy, przeto nie będziemy go tu powtarzać i podamy tylko słów kilka o nieznanej dotąd w Krakowie operetce Straussa p. t. „Karnawał w Rzymie.“Z dawniej już tu grywanych sztuk najwięcej się u nas podobały „Dzwony kornewilskie,“ gdyż nietylko libretto bawi i ujmuje, lecz co główna i muzyka ma cechę prawdziwego talentu i działa mile na słuchacza.

Dyrektorem orkiestry jest obecnie p. H. Jarecki, znany zaszczytnie kompozytor oper „Mindowe“ i „Wanda“ i jemu też należy się tu pełne uznanie za świetne wykonywanie odegranych tu operetek. Reżyserem jest i w tym roku ulubieniec naszej publiczności p. Skalski, któremu niejedną wesołą chwilę zawdzięczamy.

Wystawa sztuk dobra, kostiumy bardzo eleganckie. Chór nieliczny, lecz jakością zastępuje ilość.

Partje solowe tak żeńskie jak i męzkie są dobrze obsadzone. Z dawnych znajomych powitaliśmy panie Bocskaj i Skalską, w rolach męzkich wyróżniają się i w tym roku pp. Skalski i Alma. Role po pani Wajtz objęła p. Kasprowicz. W męzkich rolach zaszły także zmiany, gdyż partje po panu Nowickim i Myszkowskim objęli obecnie pp. Bandrowski i Fontana. P. Kasprowicz ma w grze wiele werwy i życia i śpiewa poprawnie. Cennym nabytkiem dla operetki jest p. Bandrowski, tenor bardzo sympatyczny, postawa ładna. Do ról charakterystyczno-komicznych jest p. Fontana, głos przyjemny. W „Dzwonach kornewilskich“ wystąpił u nas po raz pierwszy artysta dramatyczny p. Zboiński, w roli Gasparda, i wywiązał się zaszczytnie z swej trudnej roli. Obłąkanego starca grał i śpiewał p. Z. znakomicie i sądzimy, iż i niemieckie większe sceny mogłyby nam pozazdrościć takiego Gasparda.

Począwszy od drugiego przedstawienia „Dzwonów“ zastępuje p. Kasprowicz chorą p. Skalską i z zastępstwa tego dobrze się wywiązuje.

Margrabiego rola w „Dzwonach“ jakoteż i markiza w „Wesołej wojnie“ dała pole p. Bandrowskiemu do rozwinięcia w całej pełni swego szczególniej w medium pięknego organu. Pomniejsze role damskie śpiewały do-

tąd panie Dutkiewicz, Borodziej, Zmorska i Wejgel. Męzkie pp. Koncewicz, Wojnowski, Krykiewicz i Guberski.

Milutką bednareczką w „Boccacio“ jest p. Borodziej, gra i śpiewa sympatycznie. P. Zmorska posiada ładną powierzchowność, głos przyjemny o skali rozległej, ale trema w wysokim stopniu nie pozwala dotąd tej młodej adeptco sztuki rozwinąć należycie tego dobrego materjału. P. Koncewicza prócz roli jenerała Kańczugowa, którą gra i śpiewa wybornie, nie widzieliśmy dotąd w żadnej wybitniejszej roli.

Jakeśmy już wyżej wspomnieli wystawiono u nas po raz pierwszy „Karnawał w Rzymie“ z muzyką J. Straussa. Treść libretta osnutą jest na dramacie Wiktora Sardou p. t. „Piccolino.“ Górskie dziewcze (Marja) zakochana szalenie w młodym malarzu i czując się zawiedzioną w swej miłości, porzuca rodzinną wioskę i w przebraniu za chłopca sabaudzkiego udaje się do Rzymu, by odszukać swego ukochanego Artura. Odnalazłszy go w wirze zabaw rzymskich, staje się jego uczniem, aż wreszcie poznana i wzajemnie pokochana, zostaje żoną Artura. Dla ożywienia tego tła dodano kilka scen komicznych, a mianowicie scenę z życia artystów i komiczną postać hrabiego Falconiego i jego „wesołej“ małżonki.

W partycji tej operetki znachodzimy wiele ustępów wesołych i skocznych rytmów, gdyż Strauss bez walców i polek obejść się nie potrafi; lecz są i ustępy podnioślejsze. Wyszczególnić należy w akcie pierwszym pieśń Marji i finale. W akcie drugim smętny romans Marji i finał; w akcie trzecim najwięcej się podobał duet Marji z Arturem. Partję Marji, która jest w tej partycji najstaranniej traktowaną, grała i śpiewała p. Skalska ku zupełnem zadowoleniu krytyki i całej publiczności. Wybornie grała i śpiewała rolę hrabiny p. Bocskaj, pp. Alma, Bandrowski, Fontana i Krykiewicz przyczyniali się do ożywienia i dobrego wykonania tej wesołej operetki.

Maurycy Sieber.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Buszczyński Stefan. Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883 w 16ce str. 112, Cena 50 centów.

W broszurze tej są zebrane uwagi wybitnych cudzoziemców o naszej historji, naszych dążeniach i przyszłości. Autor w rożdziale pierwszym sięga czasów dawniejszych i podaje ciekawe zapatrywania mężów stanu w XVI i XVII. w. na dziejowe posłannictwo Polski, na jej znaczenie dla cywilizacji, oraz przestrogi ich względem rozwijającej się potęgi państwa moskiewskiego. Świadectwo cywilizacyjnej missji Polski dawali Melanchton, Henryk IV., Sully, Klemens VIII. itd. Konstytucja 3go Maja znalazła poklask u takich mężów jak Fox, Burke, Mac-Intosch, Thomas Payne, Sieyes, Volney, a nawet minister pruski Herzberg.

Rozbiór Polski wywołał liczne protestacje, szkoda, że tylko na papierze. Najwymowniej potępiał go Lord Brougham. Z panujących Marja Teresa, Ludwik XV, Ludwik XVIII, Napoleon, niejednokrotnie współczucie swoje i żal do spełnionego faktu wypowiadali.

Powstanie listopadowe poruszyło gabinety i parlamenty. Sebastiani, Manguin, jenerał Lamarque, Lafayette, Bignon, Barthe, Pages, Thouvenel, Barrot, a nawet Thiers słowami swemi dawali powstaniu zachętę i uważali je za sprawę zasługującą na poparcie Europy. Autor przytacza wydanie bulli przeciw powstaniu przez Grzegorza XVI, ale następnie udowadnia, że papież był male informatus i że żałował wydania bulli.

W czwartym rożdziale swej pracy autor poszukuje głównego źródła nieszczęść Polski i widzi je w mylnem przekonaniu wielu naszych dyplomatów jakoby Polska bez Rossji istnieć nie mogła. Nieufność w własne siły to zaród przegranej.

Rozdział piąty streszcza zapatrywania angielskich dyplomatów na sprawę polską.

W ostatnim rożdziale podany jest rys szlachetnego poparcia sprawy naszej w r. 1863 przez najzacniejszego Piusa IX, duchowieństwo francuskie, hr. Montalemberta itd.

Autor kończy swą sympatyczną broszurę słowami Andrzeja Fredry: „Którzy Polacy Polskę ganią, tacy ją najprędzej zgubią.“ A dziś ich mamy tak wielu ....

Rudolf Ottmann. Jan Paweł Woronicz. Kraków 1883 str. 47. Cena 40 centów.

Pan Rudolf Ottmann obdarza nas od czasu do czasu monografiami z historji literatury. Mając łatwy i ciągły przystęp do rękopismów biblioteki jagiellońskiej, wydobywa z nich ciekawe szczegóły i materiały. Takie też prace jak p. Ottmanna dla historyków literatury mają wielką, pierwszorzędną wartość: im więcej ich jest, tem jaśniej przedstawia się nasza przeszłość literacka i naukowa, tem łatwiej ułożyć ogólne jej dzieje.

Monografij takich nigdy zanadto, choćby dlatego, że niedołęztwo i nieuctwo kompilatorów dziejów literatury, każe im bez żadnego krytycyzmu p zepisywać daty i fakty fałszywe, bez troski o prawdę. Dowód tego mamy choćby na życiorysach Woronicza. Powtarzano np. za panią matką pacierz, że ojcem autora Sybilli był Jan, matką jego Kmitówna. I pomimo, że Juljan Bartoszewicz jeszcze w r. 1859 (Historyczne pamiątki Święckiego tom II. str. 594) błąd ten sprostował, nic to nie przeszkadzało i nie przeszkadza prawie wszystkim historykom (?) literatury powtarzać ten fałsz nieustannie. Jeżeli zaś życiorys tak wielkiej postaci jak Woronicz podobnie lekkomyślnie się traktuje, jakżeż wyglądają biografie innych mniej wybitnych osobistości.

Pan Ottman część biograficzną opiera głównie na Bartoszewiczu i Siemieńskim, wypełniając ją wyjątkami z pamiętników Koźmiana, i szczegółami wydobytemi z mów pogrzebowych i z rękopisów biblioteki jagiellońskiej. Szkoda, że autor nie zajrzał do „Arcybiskupów gnieźnieńskich i Prymasów“ Bartoszewicza, gdzieby znalazł sporą wiązkę faktów do życiorysu.

Z biografją Woronicza wiąże autor opowiadanie o jego pracach poetycznych. Dowiadujemy się o nieznanych rękopismach Woronicza znajdujących się w kodeksie biblioteki jagiellońskiej, oznaczonym liczbą 1809. Są w nim niedrukowane sielanki: Kolendnicy, Duma Mirtyla, wiersz: Armida i Rynaldo, skotopaski: Wiosna czyli Damon, Lato czyli Alexy, Jesień czyli Chylos i Egon, Zima czyli Dafne, sielanki z okazji ślubu Działyńskiego z Woroniczówną, sielanki do Stanisława Małachowskiego, oraz inne wiersze i ody okolicznościowe. Szkoda, iż autor nie dodał tych utworów do swojego studjum, lubo bowiem, jak widzimy z wyjątków, są one małej wartości, zawsze jednak są ciekawe jako spuścizna po znakomitym poecie i wielkim obywatelu.

Pracę p. Ottmanna czyta się gładko, a że z pożytkiem, to po tem cośmy powiedzieli, łatwo osądzić można. *B.*

Dr. Józef Rosenblatt. Czarownica powołana, przyczynek do historji spraw przeciw czarownicom w Polsce. Warszawa 1883 str. 64.

Dr. Rosenblatt należy do najzdolniejszych młodych naszych kryminalistów. Liczne jego prace cieszą się uznaniem w kołach fachowych, a ta której tytuł wyżej podaliśmy, zająć może i powinna każdego badacza naszej przeszłości, każdego intelligentnego czytelnika, pracującego nad zapoznaniem się z historją naszego prawa i obyczajów narodowych.

Zacząwszy głównie od wieku XVgo, spotykamy się w całej Europie ze sprawami przeciw czarownicom. Posiadają one dziś już bogatą literaturę naukową, a w swoim czasie wywołały wiele rozpraw i sporów, rozpowszechnionych drukiem.

U nas kwestją tą mniej się teoretycznie zajmowano, choć niestety w praktyce, to jest w męczeniu niewinnych istot, i nasze sądownictwo wzięło niepośledni udział. Mało dotąd posiadamy materjałów do skreślenia historji spraw przeciw czarownicom w Polsce, przybywa do nich obecnie rozprawa Dra Rosenblatta, będąca streszczeniem i rozebraniem ciekawej ze wszech miar broszury, jaka wyszła w Poznaniu w r. 1639 p. t. „Czarownica Powołana albo krótka nauka i przestroga ze strony Czarownic.“

Dr. Rosenblatt daje przedewszystkiem krótki pogląd na stan sprawy przeciw czarownicom w Europie w czasie wydania „Czarownicy“ i przebiegu pokrótce literaturę naszą w tym przedmiocie, aby uprzystępnić i wyjaśnić szczegóły zawarte w streszczonem przez siebie pisemku.

Już w wieku XIII. powstał ten straszny zabobon we Francji. Spalono wówczas w r. 1275 kobietę posądzoną o związek z szatanem, co stanowiło „zbrodnię kapitalną.“ W Niemczech bulla „Summis desiderantes“ w połączeniu z dziełem „Malleus maleficarum“ (młot na czarownice) dała początek tej słusznie nazwanej przez autora „epidemji.“ W Wurzburgu w ciągu lat 3ch spalono osób 285. Z Niemiec dostała się epidemja do Polski. Już w r. 1502 napotykamy sprawę mieszczki Małgorzaty Bilkowskiej, oczyszczającej się z zarzutów przed kapitułą poznańską. Autor przytacza parę podobnych spraw z dzieła Triplina: „Tajemnice społeczeństwa,“ oraz wypisuje i inne fakty z dzieł Łukaszewicza, Milewskiego, ks. Dydyńskiego oraz z Przyjaciela Ludu. Podaje także bardzo ciekawą sprawę o czary sądzoną przez rajców krakowskich w roku 1737. Ważną ona jest przez to, że dano jednemu z podsądnych obrońcę i ukarano obwinionych tylko smaganiem i wypędzeniem z miasta.

Torturami wymuszano najdziwaczniejsze zeznania. Na każdym kroku jest tu Łysa góra, są schadzki z djabłem, tańce wszeteczne, zadawania. Łysa góra oznaczała każde miejsce, mające być schadzką czarownic i pokumanych z djabłem. Łysą górę naprzykład założono w „chałupie Bartkowej.“ Wynaleziono latawców; były to duchy złe „z rodzaju szatańskiego pośledniejsi, które nieprawdziwe ciała lecz zmyślone z powietrza na się biorąc w postaci męzkiej lub białogłowskiej z ludźmi w cielesność nieczysto obcują“ (Stanisław z Gór Poklatecki autor pierwszego polskiego dziełka o czarach: „Pogrom czarnoksiężkie błędy“ itd. Kraków 1595).

„Młot na czarownice“ (Malleus maleficarum) przetłomaczył Ząbkowicz. W pierwszej jego części były zebrane dowody, że czary, czarownicy i czarownice istnieją, w drugiej części podawano różne ich „sposoby“ i środki na nie, w trzeciej wreszcie wyłożono zasady śledztwa i wykonania wyroku. W r. 1754 jeszcze ks. Chmielowski w sławnych „Nowych Atenach“ wierzy w czary i o nich się rozpisuje, a nawet jeszcze w r. 1769 prawnik i kryminalista Jakób Czechowicz teorję czarów popiera.

Pierwszy raz Bohomolec w dziele „Djabeł w swojej postaci“ (1772) występuje jawnie i stanowczo przeciw strasznemu w swem zastosowaniu przesądowi, a zaraz potem konstytucja z r. 1776 znosi karę śmierci na czarowników i czarownice oraz tortury. Wyprzedziliśmy tą „konstytucją“ Austrję, Francję, Hiszpanję i Szwajcarję.

W ośm lat po wydaniu dzieła jezuity Fryderyka Spee z Frankonji, w którem tenże, nie zbijając wiary w czary, krytykuje jednak postępowanie sądowe względem czarownic, ukazuje się u nas „Czarownica powołana,“ również wierząca w związki z djabłem, ale występująca przeciw procedorowi sądowemu, naganiająca łatwowierność sędziów i karząca nadużywanie tortur. Nieznany autor wskazuje na zabobony, jako główne przyczyny spraw tego rodzaju, humorystycznie rozbiera pytanie: „czemu więcej białych głów aniżeli mężczyzn czarownic?,“ energicznie karci dotychczasowe postępowanie sądowe, tortury, nieuctwo sędziów, brak sumienia i rozwagi, przykładami rzecz swą illustruje, żąda oddania spraw przed „forum mixtum“ t. j. urząd duchowny połączony ze świeckim, przemawia za daniem obrońcy oskarżonym, żąda świadectwa „ludzi wiarogodnych“ a nie tego od którego „pomowa,“ nazywa próby ogniowe i pławienia szalbierstwem, a jako najlepsze lekarstwo na czary zaleca: „nie być lekkomyślnym i nie bawić się plotkami, ani ludźmi pletliwymi.“ Naturalnie wiele autor ma jeszcze przesądów, ale więcej dobrych chęci. Pytania postawione przez siebie rozbiera gruntownie, chłopskim rozumem.

Streszczenie „Czarownicy powołanej“ uzupełnia Dr. Rosenblatt licznemi cytatami dzieł prawników naszych i obcych, czem rzuca światło na całą sprawę. Przy końcu broni Dr. R. „Czarownicy powołanej“ jakoby miała być przeróbką dzieła Spee'a, wskazuje, że jej autor nie znał dzieła Spee'a, a korzystał natomiast z dzieł Tannera, Laymana, Godelmana i innych współczesnych autorów, co sam wreszcie w cytatach przyznaje.

Zabobon istnieje do dziś dnia. Dr. R. przytacza w zakończeniu swej zajmującej rozprawy świeże dowody jego istnienia i smutnych tegoż następstw.

Rozprawa Dra R. wykonana przy pomocy odpowiedniego aparatu naukowego w dziedzinie naszej literatury kryminalistycznej poczestne zajmuje stanowisko.

B.

Pieśni polskie, Kraków 1883, str. 219 cena 60 centów.

„Pieśni polskie.“ to zbiór patrjotycznych utworów powszechnie znanych, lub na poznanie zasługujących. Chcą one oddać tę samę usługę jaką oddawały w swoim czasie: „Lutnie,“ „Bardy,“ „Śpiewniki“ i t. d. Oprócz więc piosnek narodowych, drogich każdemu sercu, „Pieśni polskie“ zawierają i utwory patrjotyczne najznakomitszych naszych poetów jak Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, Pola, Goszczyńskiego, Romanowskiego, Gosławskiego, Gaszyńskiego, Lenartowicza i innych.

Wartość podobnych zbiorków polega na wyborze pieśni i poezyj, oraz na starannym przedruku oryginału. Otóż pod tym względem „Pieśni polskie“ pozostawiają w tyle poza sobą wszystkie dotychczasowe zbiory. Wydawca wybrał to, co ma rzeczywistą wartość tradycyjną lub poetyczną, odrzucając na bok niezdarne rymy, któremi przepełnione były Lutnie i Bardy. Dodał nieco i innych utworów pomijanych niesłusznie w poprzednich zbiorach. Tam gdzie były zmiany lub warjanty, starał się o podanie obu lub więcej tekstów. Tak np. mazurek Dąbrowskiego podany jest w czterech zmienionych formach, tak hymn „Boże coś Polskę“ mamy podwójnie, t. j. jak wyszedł pierwotnie z pod pióra Felińskiego i jak go następnie w skutek nowych okoliczności przerobiono i dopełniono.

Przedewszystkiem jednak „Pieśni“ zaszczytnie się wyróżniają staranną korektą. Nie do uwierzenia prawie, jak wydawcy podobnych zbiorów lekceważyli sobie tę stronę wydawnictwa. Każdy wiersz np. Słowackiego, który tak łatwo przecież skorygować podług pierwszego lepszego wydania, wychodził zazwyczaj poprzemieniany, obcięty, zepsuty. O rytm, rym i sens, nie chodziło wydawcom. Kazali przepisać wiersz nieintelligentnemu kopiście i jemu widocznie pozostawiali korektę. Zamiast: brzmi — ćmi, zamiast nadzieje — naleje — było na każdej prawie karcie. Mniejsza o to jak wydane, byle handel szedł. Dlatego też podnieść należy, że „Pieśni polskie“ starały się być wolnemi od tych rażących błędów. Czy ich się zupełnie ustrzegły, trudno orzec, trzebaby każdą pieśń porównywać i studjować, pytanie wreszcie czy możebnem byłoby wszędzie dać tekst prawdziwy, gdy wielu z ulotnych pieśni nie mamy ani oryginału, ani nie znamy autora. W każdym razie „Pieśniom“ pod względem poprawności korekty, należy się pierwszeństwo przed wspomnianemi wyżej zbiorami.

Wydanie bardzo eleganckie, druk piękny i wyraźny, format miniaturowy bardzo smaczny, zalecają zewnętrzną stronę wydanie.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— P. *Biegeleisen* podaje w lipcowym zeszycie „Ateneum“ Dziennik Słowackiego z ostatnich lat jego życia, przepisany z autografów biblioteki Ossolińskich.

— W tymże zeszycie Ateneum znajduje się „przyczynek do życiorysu Łukasza Górnickiego“ pióra *Dra Löwenfelda.*

— W Monachium ma wychodzić wielki organ stronnictwa katolickiego, z kapitałem zakładowym paru kroć sto tysięcy marek.

— W Niemczech z okoliczności 400-setnej rocznicy *Lutra* wychodzi wielka ilość dzieł i broszur tyczących się reformatora.

— Nakładem „stowarzyszenia dla niemieckiej literatury“ w Berlinie wyjdzie dzieło: „Das moderne Ungarn.“ Autorem jest Dr. *Ambros Nemenyi.*

— W Turynie wyszedł drugi tom listów *Cavoura.*

— *Emila Peschkaua* wyszły nowelle p. t. Friedburg, oraz zbiór fejletonów „Ein-und Ausfälle.

— U Brockhausa wyszło dzieło *Fryderyka Bodenstedta:* Vom atlantischen zum stillen Ozean,

— *Dr. Franciszek Hirsch* wydaje w Lipsku w 24 zeszytach dzieje literatury niemieckiej.

— Kongres literacki w Amsterdamie odbędzie się we Wrześniu r. b. Traktowana na nim będzie przeważnie sprawa własności literackiej. Prócz tego będą odczyty o powieściopisarstwie wszystkich narodów, oraz o wolności myślenia i pisania w XVII. i XVIII. wieku.

— *A. Gerstman* wydał w Berlinie dwutomowe studjum o *Daudecie* i jego pismach.

— Z Pragi nadesłano nam broszurę: Ueber die Bedeutung der praktischen Ideen Herbarts für die Allgemeine Aesthetik. Autorem jej jest *Dr. O. Hostinsky.*

— Pomnik *Berangera* ma stanąć w Paryżu na skwerze du Temple. Inicjatorami są: *Wiktor Hugo i Houssaye.*

— Pan *Stanisław Krzemiński* podał w „złotej księdze poetów i prozaików polskich“ bibliografję pism *Mickiewicza.*

— Pani *Lucyna Ćwierciakiewiczowa* zarobiła na 13stu wydaniach „365 Obiadów“ małą sumkę 84.000 rubli. Co to znaczy pracować dla dobra literatury.... kuchennej. Publiczność nasza popiera..... arcydzieła.

— Pan *J. Caro* wydał dziełko p. p. Beata und Halszka.

— „Petersburgskija Wiedomosti“ drukują powieść *J. I. Kraszewskiego:* Kunigas. Angielski przekład „Starej Baśni“ ma się niebawem ukazać.

— *Castelar* pomieścił w przeglądzie: Les matinées Espagnoles artykuł: „La Race Slave.“

— W Paryżu wyszła powieść: Le juif de Sofiewka. Autorem jej jest *V. Rouslane.*

— „Zapiski“ *Tymoteusza Lipińskiego* wyszły nakładem K. Bartoszewicza. Niezmiernie ciekawy ten pamiętnik z lat 1825 1831 wzbudza ogólne zajęcie. Cena 2 złr.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *Mierzwiński* wystąpi w przyszłym marcu w operze wiedeńskiej. Rozpocznie partją *Raula* w „Hugonotach.“

— *Ludomir Benedyktowicz* kończy dwa obrazy: wielki pejzaż jesienny i Grabiarkę.

— Album artystyczne „Koła artystyczno-literackiego“ krakowskiego na tle epoki Sobieskiego, pięknie się zapowiada. Będą w nim rysunki Kossaka, Brandta, Benedyktowicza, Lipińskiego, Picarda, Andriollego, Rybkowskiego, Piwnickiego itd.

— Pp. *Wacław Koniuszko i Żukotyński* otrzymali srebrne medale w Akademji monachijskiej.

— Międzynarodowa wystawa sztuki w Monachium otwartą została w dniu 1 b. m.

— „Marcin Luter“ dramat *Wilhelma Henzena* będzie grany po raz pierwszy 10go Listopada w Lipsku. jako w dzień 400-letnej rocznicy urodzin reformatora.

— *Millöckera:* Bettelstudent, operetka na tle niby historji polskiej, 150 razy graną już była w Berlinie.

— Obraz *Szymona Buchbindera* „Król Zygmunt III. jako złotnik“ znajduje się na wystawie monachijskiej. Na tę wystawę nadesłali z Polaków swoje prace: *Kowalski* (Poczta w Polsce) *Gierymski* (Wieś polska) *Cheł-*

miński (trzy obrazy rodzajowe), *Świeszewski* (Ruiny pałacu Tyberjusza na Caprei) *Kurella* (W parku), *Herncisz* (Sobótki) i *J. Rosen* (duże płótno przedstawiające scenę z powstania 1831 r.).

† *Karol Grabowski*, radca intendentury, dyrektor teatru w Würzburgu i nadreżyser teatru Wiktorja w Berlinie zmarł w Wiesbadenie 28 Czerwca.

† *Juljusz Leonard*, kompozytor, nauczyciel w drezdeńskiem konserwatorium zmarł w Dreźnie.

— Malarz drezdeński *F. W. Heine* pracuje nad wielką panoramą: Bitwa pod Belfort.

— „Arena-grab“ taki jest tytuł najnowszego dzieła *K. Pillotego*.

— Na konkursie paryzkim Towarzystwa kompozytorów otrzymała nagrodę pani *Grandval*.

— *Karol Hahn* w Dreźnie wynalazł nowy klawiszowy instrument.

— Na powszechnej wystawie sztuki w Monachium znajduje się obraz *Wilhelma Raübera*, którego treść jest zaczerpnięta z dziejów polskich. Przedstawia on mianowicie „Poddanie Warszawy“ księciu Fryderykowi Wilhelmowi brandeburgskiemu i jenerałowi Wranglowi. Jestto ustęp z wojen szwedzkich.

— W Eufinie, miejscu urodzenia *Webera*, ma być wzniesiony pomnik dla uczczenia jego pamięci.

— *Teobald Rehbaum* autor operetki „Don Pablo“ wystawi w Lipsku i Magdeburgu nowy swój utwór „Kamienne serce.“

— W Amsterdamie od 6go do 9go Lipca odbywał się międzynarodowy konkurs towarzystw śpiewackich.

— Dr. *A. Franz* napisał dzieje miedziorytnictwa.

— Prof. *Gadomski* pracuje nad posągiem Sobieskiego, mającym stanąć w ogrodzie strzeleckim.

Odezwa do literatów i artystów polskich.

Powszechnie jest uznaną potrzeba łączności między ludźmi jednego, lub pokrewnych sobie zawodów.

Corocznie też zwoływane są kongresy literackie, w których biorą udział pisarze wszystkich narodowości. Jeżeli jednak spotyka je mniej lub więcej słuszny zarzut, że z powodu różnicy stosunków narodowych, ekonomicznych, społecznych i intellektualnych, nie mogą one wywierać dostatecznego wpływu na sprawy literackie — to zjazdowi pisarzy jednej narodowości zarzutu tego uczynić nie można. Samo zawiązanie lub odnowienie znajomości między ludźmi różnych może zasad i przekonań, lecz dążącymi do wspólnego celu, wpływa już korzystnie nietylko na stosunki osobiste, ale i na sprawy ogólniejszego znaczenia. Dodawszy do tego porozumienie się w kwestjach bieżących literackich, omówienie wniosków tyczących się poprawy wzajemnych stosunków, czy to pod względem moralnym, czy materjalnym — zawsze okazać się musi dodatni rezultat, nie wspominając już o przyjemnem wrażeniu, jakie pozostawiają po sobie objawy wzajemnej serdeczności.

Toż samo znaczenie i zadanie mają zjazdy artystów.

Przeświadczone o tem «Koło artystyczno-literackie» krakowskie, ma zaszczyt zaprosić wszystkich pracowników na polu literatury i sztuki polskiej, do przyjęcia udziału w pierwszym zjeździe literatów i artystów polskich, mającym się odbyć w Krakowie w dniach 14 i 15 Września r. b. Spójnia jaka zachodzi między literaturą a sztuką w ogóle, spotęgowana jeszcze u nas wyjątkowemi okolicznościami, jest powodem połączenia tych dwóch zjazdów razem, dla nadania im wybitniejszego charakteru i dla zaznaczenia jedności między ludźmi pracującymi w sferze duchowej na pożytek kraju.

Szczegółowy porządek obrad zjazdu, wypracowany już przez wyznaczony w tym celu komitet, a podnoszący wiele spraw ważnych i żywotnych, podaje jednocześnie «Koło» do wiadomości Redakcyj pism polskich, prosząc je o poczynienie swoich uwag nad jego uzupełnieniem lub zmianami uznanemi za właściwe. Ogłoszenie jego nastąpi w połowie Sierpnia, wraz z całym programem zjazdu, ułożonym przez zawiązaną komissję gospodarczą.

W zakończeniu niniejszej odezwy, uprasza «Koło artystyczno-literackie» o poparcie myśli zjazdu, pewne, że odczutą ona i zrozumianą będzie przez tych wszystkich, którym dobro naszej sztuki i literatury nie jest obojętnem.

Kraków 25 Lipca 1883.

„Koło artystyczno-literackie.“

PROJEKT PROGRAMU OBRAD PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW POLSKICH W KRAKOWIE W DNIU 14 I 15 WRZEŚNIA 1883 R.

I. Sprawa własności literackiej i artystycznej.

II. Wnioski zmierzające ku urządzeniu ogólnej perjodycznej wystawy dzieł sztuki polskiej.

(Rozwinięcie myśli H. Siemiradzkiego rzuconej podczas jubileuszu Kraszewskiego).

III. Założenie towarzystwa literatów i artystów dla przychodzenia w pomoc członkom dotkniętym ciężką chorobą, oraz wdowom i dzieciom po członkach pozostałym.

(Odpowiedni statut przedłożonym będzie członkom zjazdu).

IV. Sprawa utworzenia opery polskiej, odpowiedniej naszym siłom i wymaganiom.

V. Nasze pisma illustrowane jakiemi być powinny.

(Rozwinięcie myśli rzuconych przez J. I. Kraszewskiego).

VI. Utworzenie szkoły dramatycznej polskiej na wzór istniejących za granicą.

VII. Wniosek założenia pisma informacyjnego artystyczno-literackiego.

NB. Pożądane byłyby odczyty z dziedziny historji literatury i sztuki polskiej.

†

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

autor „Tyrteusza,“ dramaturg, wybitny pisarz ludowy, znakomity humorysta, zasłużony autor, tłomacz i kompilator dziełek dla młodzieży, właściciel drukarni, zmarł dnia 28 Lipca. Cześć jego zasłużonej działalności pisarskiej!

Do Nru 14 i 15 dołączają się „Przykuta“ rysunek Mańkowskiego i z „Bitwy pod Orszą“ J. Krzesza.


83.



Z „Bitwy pod Orszą“